J. K. MACK[illegible]WSKI.

POWIEŚCI I OPOWIADANIA

DLA

[illegible]

[illegible]

INOWROCŁAW.

Nakład Księgarni [illegible]zennika K[illegible]wskiego.

[illegible]

[illegible]


Biblioteka
im. Jana Kasprowicza

J. K. MAĆKOWSKI.

POWIEŚCI I OPOWIADANIA

DLA

LUDU I MŁODZIEŻY.



INOWROCŁAW.
Nakład Księgarni „Dziennika Kujawskiego.“
Czcionkami drukarni Dziennika Kujawskiego.
1896.

Zacharskiemu Zenonowi

uczniowi III oddziału

za dobre sprawowanie i pilność w nauce

Wychowawczyni

Stef. Wojciechówna



Kier. Szk. Macfelin

Ciechocinek

17. VI. 922 r.

Z ziemi łez i pracy.

Pan Radzca komercyjny N., jeneralny dyrektor hut i kopalni Towarzystwa akcyjnego w Rudnie, przechadzał się, cały wzburzony, po swej dywanami wyłożonej pracowni, podobnej raczej do buduaru rozpieszczonej kobiety, niż do oficyalnego biura dyrektorskiego. Okrągła twarz pana radzcy zaczerwienioną była po uszy, płowy, siwiejący już wąs i takież bokobrody drgały konwulsyjnie, a z piwnych oczu strzelały płomienie gniewu. W ręku ściskał jakiś papier z stemplem urzędowym, jakby na nim pragnął złość swą wywrzeć.

Strasznych bo też rzeczy dowiedział się pan radzca przed chwilą. Otóż był u niego pan landrat i nagadał mu niestworzonych rzeczy o własnych jego robotnikach. Pan radzca ani nie przeczuwał, co się święci, że w hutach jego takie rzeczy dziać się mogą. Płacił on robotnikom regularnie, żądał od

nich twardej, sumiennej pracy, i o nic więcej się nie pytał ani nie troszczył, a już wcale a wcale nie o to, co robili po za godzinami pracy. Tymczasem teraz oto dowiaduje się, że między robotnikami jego wre już od dawna jakaś wroga dla państwa agitacya, że knują się jakieś zmowy, spiski, które grożą niechybną zagładą wielkiej niemieckiej ojczyźnie. Że to właśnie teraz na jaw wyjść musiało i dojść do uszu władzy, właśnie teraz, gdy pan radzca z okazyi jubileuszu hut Towarzystwa spodziewał się conajmniej orderu!

Niewdzięczny to naród, ci robotnicy! Pracują czternaście godzin lub i dłużej dziennie, wśród żaru i potu, lub w grożących śmiercią podziemiach, biorą za to wolny opał i dwie marki na dobę, a mimo to łączą się z wrogami pana radzcy. Boć wrogowie rządu muszą eo ipso być wrogami najlojalniejszego z lojalnych, pana radzcy.

Na czemże to polega ich wina? Otóż już od lat kilku zaczęły się między robotnikami szerzyć polskie gazety. Dostarczał ich innym robotnik Kowalczyk, ten sam, którego pan radzca niedawno temu za nader gorliwą pracę posunął na stopień dozórcy. Kto Kowalczyka do tego namówił, nikt dociec nie mógł, aleć nie ulegało wątpliwości, że to sprawka jakiego zamaskowanego agitatora.

Zkądby podobne rzeczy robotnikowi mogły przyjść do głowy? Dość, że gazety czytano. Od czasu tego dziwna zaszła zmiana. Ludzie jakoś śmielej spoglądali w oczy urzędnikom i żandarmom, nie pozwolili sobie wymyślać od specyalnie „polskich“ wołów i osłów, w domu czy też przy robocie rozmawiali tylko po polsku, śpiewali piosnki polskie i „wyrzucali“ dużo pieniędzy na książki polskie. Dalej stoczyli zaciętą walkę z panem organistą, za to tylko, że tenże z dziećmi szkólnemi zaczął podczas mszy św. śpiewać po niemiecku, a co gorsza, walkę tę za pomocą księdza proboszcza zwycięzko przeprowadzili. Wogóle pan nauczyciel najwięcej się skarżył i ubolewał. Rząd kazał mu uczyć tylko po niemiecku, a że pan nauczyciel był bardzo gorliwym i wielce łaknął stumarkowej premii, więc zaczął germanizować dziatwę i poza szkołą. To znów wywołało kilka niemiłych starć z oburzonymi do żywego ojcami i matkami, które nie wiele chwały panu „rektorowi“ przysporzyły. Zdarzały się nawet wypadki, że dzieci — o zgrozo! — przynosiły do szkoły polskie elementarze! Raz nawet złowił pan nauczyciel u jednego z malców małą historyą polską, w której wyraźnie stało, że Ślązk kiedyś do Polski należał! Inny znów chłopiec miał swój „Lesebuch“ owinięty w jakąś starą gazetę

polską, i pan nauczyciel wszedł właśnie na to, jak z tej gazety z wielkiem zajęciem odczytywał wraz z kilku innymi te niedorzeczne słowa, że „język ojczysty to przyrodzona własność ludu, której mu zabierać nie wolno.“ Jakżeż wobec takich przeszkód postępować miała nauka języka niemieckiego? Widoki premii malały z dniem każdym, a porówno z niemi wzrastały gniew i odraza. Pan nauczyciel, jako doświadczony pedagog, był przekonanym, że dla tego tylko dzieci niemczyzną się nie przejmują, ponieważ rodzice z niemi w domu po niemiecku nie mówią. Że zaś tego nie czynią, to znów wina polskich gazet, które w żaden sposób nie chcą uznać konieczności niemczenia ani wyższości niemieckiej kultury, a wreszcie wina Kowalczyka, ponieważ tenże pierwszy gazety polskie zaprenumerował i innych do czytania namawiał.

Szły więc do pana inspektora „berychty“ za „berychtami“; pan inspektor przesyłał je dalej, aż wreszcie nadeszło z Berlina do pana landrata pismo, aby baczniej śledził niebezpieczną agitacyą wielkopolską. Wydano wtedy odpowiednie przepisy i postanowiono agitatorów schwytać na gorącym uczynku. U Kowalczyka odbyto rewizyą domową, przetrząśnięto papiery, zabrano książek kilka i wyznaczono cztery terminy; lecz jakoś

winy żadnej odkryć nie zdołano, ponieważ po kilku tygodniach zaprzestano przesłuchów i oddano książki z powrotem.

Ale nie dość na tem. Ot teraz ten sam Kowalczyk i kilku innych robotników podało do pana „amtowego“ pismo z zawiadomieniem, że w tym a tym dniu odbędzie się zebranie ludowe, na którem wyłożoną zostanie petycya o przywrócenie jezyka polskiego i omawiane będą sprawy publiczne.

A więc do tego już doszło! Toć to bunt jawny i otwarty!

Pan „Amtsvorsteher“ zatelegrafował zaraz do pana landrata, a pan landrat udał się do pana radzcy z gorzkiemi wymówkami, że cierpi podobne niegodziwości. Prawnie zebraniu takiemu zapobiedz nie było można, więc trzeba się było chwycić innych sposobów. Bądź co bądź zebranie odbyć się nie mogło. Jakżeby potem pan minister w Berlinie mógł w obec sejmu oświadczyć, że lud jest z obecnego położenia zupełnie zadowolonym, i że wszelkie skargi są tylko czczym wymysłem nie wielkiej kliki agitatorów. I stało się nasamprzód, że gościnny, który już był przyrzekł robotnikom salę, cofnął nagle dane przyrzeczenie, i ani powiedzieć nie chciał, dla czego? Snać i on uląkł się złowrogiej agitacyi. Że jednakże odmowy tej nie uważano za dostateczną przeszkodę,

więc zwrócono się do pana radzcy, aby dokonał reszty.

I stało się wszystko, co sobie pan landrat życzył.

Pan radzca, dotknięty do żywego obawą, że orderu nie dostanie, odprawił jeszcze tegoż dnia tak Kowalczyka, jak i pięciu innych na owem piśmie podpisanych robotników, reszcie zaś przykazał surowo, aby nie ważyła się pism polskich czytywać. O więcej już się pan radzca nie troszczył. Przecież mówił mu pan landrat, że nad Renem łatwo będzie znaleść innych robotników, nawet wprawniejszych i zdatniejszych. Pan radzca będzie miał przytem tę zasługę, że powiększy miejscowy żywioł niemiecki, żywioł kultury. Co odprawieni robotnicy poczną teraz wśród zimy, z czego żyć będą, nad tem się pan radzca wcale a wcale nie zastanawiał. Cóż go to mogło obchodzić? Że równocześnie z nastaniem owej wielkopolskiej agitacyi robotnicy stali się pracowitszymi i trzeźwiejszymi, że więcej odtąd pieniędzy wydawali na książki i pisma, niż na wódkę, że ustawały powoli we wsi burdy i zgorszenia, tego pan radzca nie wiedział, boć, jak to już na wstępie zaznaczyliśmy, o pozafabryczne życie robotników wcale się nie troszczył.

Przyszły potem do niego żony oddalonych robotników z żalem i prośbą, aby cofnął rozkaz wydalenia, ale ich do pana radzcy nie wpuszczono. Przecież służba wiedziała, że szlochów niewieścich nie znosi, więc pocóż go drażnić?

Zresztą tegoż właśnie dnia otrzymał pan radzca długi list od przyjaciela swego, radzcy rejencyjnego z stolicy z podobnemi wyrzutami, jakie tuż poprzednio uczynił mu landrat. Ten to list właśnie wprawił był pana radzcę w bardzo zły humor. W takich zaś razach bywał nieubłaganym....

* *
*

W tydzień później wszystko wróciło do „dawnego porządku“. W miejsce wydalonych robotników przybyło z nad Renu sześciu innych, śmiałe, zawadyackie postacie. Trzeba im było wprawdzie płacić daleko więcej, aniżeli tubylcom, ale jakiejże to ofiary patryota dla ojczyzny nie poniesie?

Zapowiedziany wiec polski naturalnie się nie odbył, a w redakcyi owej gazety polskiej, która tyle złego nawarzyła, spostrzeżono z nadejściem nowego kwartału, że w wiosce Rudnie ubyło od razu sześćdziesięciu wiernych dotychczas czytelników. Nie dziwiono się temu, ponieważ podobne wy-

padki zachodzą na błogosławionej cierpieniami ziemi szląskiej niemal codziennie.

„Ojczyzna niemiecka“ była ocalona!

* * *

Odprawieni robotnicy rozproszyli się po świecie. Czterech z nich poszło w świat do Saksonii, gdzie ich się widocznie mniej obawiano. Piąty przeniósł się wraz z żoną do Królestwa Polskiego, jedynie Kowalczyk pozostał we wsi. Miał on tam małą chałupkę i roli „juterko“, przytem ojca starego i liczną rodzinę, przeto trudno mu było szukać chleba po świecie. Na Szląsku pracy nie brakuje, znajdzie ją każdy, kto szuka uczciwie. Jednak bohater nasz znaleść jej nie mógł. Gdzie szukał, tam odpowiadano mu, że „agitatorów wielkopolskich“ nie przyjmują. Tymczasem bieda coraz natarczywiej zaczęła zaglądać do chaty jego. Żona płakała, stary ojciec więdł w oczach, dzieci marniały, a chłop biegał po okolicy — za chlebem. Tu i owdzie najął się do gospodarza na dzień jeden lub kilka, ale to nie starczyło. Wreszcie dowiedział się, że o dwie mile ztąd zakładają nową hutę. Co prędzej udał się tam dotąd, a ponieważ potrzebowano tam robotników bardzo wielu, więc mniej zważano na ich polityczną konduitę i brano, kto się nawi-

nął. Znalazł tedy Kowalczyk jaki taki przynajmniej zarobek. — Co niedzielę w nocy puszczał się piechotą do fabryki i przebywał tam przez tydzień cały, noce przepędzając u karczmarza w szopie na złomie. Zaś w sobotę wieczorem wracał z zarobkiem do żony i dzieci. Ciężkie to było życie w rozłące z rodziną, ale przynajmniej chroniło od głodu i nędzy. Mimo to chłop pozostał takim, jakim był dawniej. Nie dojadł, nie dopił, lecz gazetę polską mieć musiał, a często się zdarzało, że między chlebem i okrawkami okrasy, jakie niósł w sobotę do chaty, spoczywała starannie zawinięta nowa jaka książeczka dla niego lub dla dzieci.

Z dawniejszymi towarzyszami pracy mało się stykał, bo nie chciał ich na nowe narazić nieprzyjemności. I oni unikali go jak zapowietrzonego. Czasem tylko ten i ów ukradkiem przybywał do jego chaty, aby pogawędzić po dawnemu i dowiedzieć się, co się w świecie dzieje.

* * *

Tak minął rok przeszło.

Maj zazielenił lasy i pola. Ziemia odżyła na nowo. Przez chmury czarnego dymu przedarły się promienie słońca i ozdobiły blaskiem tę ziemię bogactw, pracy i nędzy

Od zachodu powiało jakieś tchnienie dziwne, które wśród robotników wywołało niepokój i rozdraźnienie.

We wsi Rudnie znów się niejedno zmieniło. Wprawdzie umilkły ,,berychty", pan radzca otrzymał order, pan landrat już się nie skarzył, nauczyciel zacierał ręce, lecz tem więcej skarzyli się urzędnicy huty i kopalni. Między robotnikami budzić się bowiem zaczął duch niezadowolenia i oporu, coraz wyraźniej i widoczniej. Próżno łamano sobie głowę, zkąd powstał i kto go wywołał, bo zaślepienie rasowe nie dozwalało poznać rzeczywistych sprawców. A byli nimi ,,Kulturtraegerzy" z zachodu, owi robotnicy z nad Renu. Nie znaleźli oni na Szląsku tego, czego się spodziewali, a że sami do oporu czuli się za słabi, więc werbowali sprzymierzeńców między tubylcami. Opowiadali oni dziwy o życiu robotników nad Renem. Poczciwi hutnicy szlązcy dowiedzieli się z ust ich, że gdzieindziej towarzysze ich pracują krócej, a za większą zapłatą, że tam każdego traktują niby pana, że w hutach i kopalniach nadreńskich są łazienki, w których każdy robotnik po pracy z brudu i pyłu oczyścić się może, że jednem słowem tam raj — a tu piekło! Dowiedzieli się dalej, że nie ma Boga, że wiara, skromność i uczciwość, to głupstwo, że panowie, to wy-

zyskiwacze, że człowiek człowiekowi równy, że gdyby tylko robotnicy się połączyli, toby wspólnemi siłami wnet cały świat przewrócili i z nędzarzy stali się panami... Cóż łatwiej wzbudzić jak zazdrość i niezadowolenie? Rodzi się ono w skrytości, rośnie potężnie, i nim człek się spostrzeże, już szarpie duszę i umysł cierniami goryczy i piekłem pragnień i pożądliwości.

Robotnicy nasi nie zrozumieli wszystkiego, co im gadano, ale czego nie zrozumieli, to odczuli. To jedno wiedzieli przy tem dobrze, że im się krzywda dzieje, że dla tego, iż miłowali to, co im ojcowie jako drogą przekazali spuściznę, kilku z nich chleb straciło, a inni na tysiączne narazili się przykrości i szykany. Grunt był więc dobrze uprawiony, i dla tego to nauki nowych apostołów od razu trafiły im do przekonania. Reszty dokonała rozbudzona fantazya. I gazety polskie broniły ich doli, ale mówiły im zawsze: „Módl się, pracuj, cierp, a ufaj Bogu!“ Co za głupstwo! Po co cierpieć, kiedy jednym zamachem można dojść do nieba ziemskiej szczęśliwości. Nie potrzeba już było zakazu, bo w hucie pana radzcy już żaden z robotników po gazetę, która cierpieć radziła, ani sięgnąć nie chciał. Kultura niemiecka zupełne odniosła zwycięztwo.

* * *

Straszne są namiętności ludzkie, gdy zawładną tłumami i odbiorą im rozwagę i władzę nad sobą. Tłum wtedy o nic nie pyta i gotów w ogień skoczyć, byle dopiąć swego.

Strejk! hasło to przybiegło z zachodu i ogarnęło szerokim płomieniem huty i kopalnie szląskie. Stanęły koła, wygasły po raz pierwszy piece, znikły chmury dymu, i okolice, które dotąd wrzały nawet w święta życiem gorączkowem, pełnem wrzasku i huku zaległa cisza. Przerywały ją tylko od czasu do czasu krzyki rozburzonych tłumów, przekleństwa dozórców, płacz żon i dzieci, czasem huk wystrzałów: jęki rannych. Tam, gdzie przedtem w pocie i znoju widywano setki czarnych od kurzu robotników, połyskiwały teraz lance ułańskie i bagnety piechurów, w dywanami wysłanych biurach radzono co począć, jak burzy grożącej zapobiedz.

Strejk! Ileż to łez i nędzy wyraz ten mieści w sobie! Nieunikniony niekiedy, staje się często raczej przekleństwem, niż lekarstwem. Nędza wyłamująca się z wieloletnich więzów, nie zawsze wybiera środki stósowne....

* *
*

I w hucie, w której Kowalczyk pracował, robotnicy również porzucili pracę. Wie-

czór już się zbliżał, gdy im wypłacono i oświadczono, że zarząd na razie na ich żądania przystać nie może. Przed biurem stały gromadki ludu, naradzające się, co począć? Dotychczas wszystko jeszcze odbywało się spokojnie. Nikt nie myślał o gwałtach lub rozruchach, bo nad wszystkiemi panowała siła, potężniejsza od wszelkich praw i bagnetów, *wiara i bojaźń Boga!*

Kowalczyk nie mieszał się między obradujących, nie skarżył się i nie narzekał. Przeciwnie ogarnęła go żałość wielka i obawa, że teraz utraci i ten ostatni kęs chleba, jaki znalazł z takim trudem i mozołem. Cóż poczną dzieci, gdy za tydzień nie przyniesie im chleba? Były chwile, gdzie chciał wejść między strejkujących i odwieść ich od niebezpiecznego zamiaru, lecz nie śmiał, bo czuł, że ten tłum czarny, spocony i zziajany ma.... słuszność zupełną. Z ciężkiem tedy sercem udał się ku domowi. Wieczór był cichy i pogodny. Im dalej postępował, tem większa jakaś ogarniała go trwoga, trwoga z której sam sobie sprawy zdać nie mógł. Noc tymczasem zapadła zupełna. Zajęty myślami, nie liczył godzin ni kroków i ani spostrzegł, że się już znajduje w pobliżu wioski rodzinnej. Nagle niezwykłe światło jakieś zaprzątnęło uwagę jego. W pierwszej chwili zdawało się Kowalczykowi, że to już ju-

trzenka wschodzi na niebie. Światło jednakże rosło z każdą chwilą i wnet przybrało wyraźne formy łuny pożarnej. Równocześnie doszły go jakieś oddalone krzyki i wrzaski. Przerażony rozejrzał się w koło. Nagle skoczył naprzód. Poznał, że palącym się budynkiem był dom zarządowy huty. Biegł tedy przez pole prosto ku owej łunie, sam nie wiedząc, co czyni. Kilka razy upadł przez brózdę, ale wnet się podniósł i biegł dalej. Tchu mu brakowało, pot zalewał mu czoło. Wreszcie dobiegł do drogi, do której przylegał dziedziniec huty, i jednem spojrzeniem ogarnął wszystko.

Przy blasku płonącego domu ujrzał tłum czarnych okopconych robotników, wściekłych, rozszalałych. Prawie wszyscy uzbrojeni byli w kije, młoty, szyny i kamienie, któremi wywijali, nacierając z furyą na bramę płonącego budynku, bronionego przez kilku żandarmów. Ci odpierali napastników kolbami i pałaszami. Na czele postępowali z wściekłemi przekleństwami robotnicy z nad Renu. Z urywanych krzyków i pogróżek zrozumiał Kowalczyk to tylko, że tu nie chodzi już o polepszenie płacy i doli, lecz tylko o zniszczenie i rabunek.

Biednego robotnika chwyciło coś za gardło i zdawało mu się, że zmysły straci. Bezwiednie upuszcza na ziemię zawiniątko swoje,

potem — rzuca się między walczących. Oczy płoną mu gorączkowym ogniem, ręce wznosi ku niebu, i wyciąga je przeciwko dawnym towarzyszom.

„Nieszczęśni — woła gromkim głosem — co poczynacie? Czy nie żal wam żon waszych i waszych dzieci? Czy chcecie, aby z głodu pomarły, gdy wy do więzienia pójdziecie? Czy opamiętania nie macie? Czy się Boga nie boicie?“.

I stało się, czego się pewnie nikt nie spodziewał. Tłum stanął jak wryty. Gdyby anioł z nieba zjawił się był przed tą masą drgającą, szaloną, nie byłby wywołał większego wrażenia, jakie wywołało to nagłe zjawienie się Kowalczyka. Znali go wszyscy i lubili, a co więcej, wiedzieli, ile to on dla „sprawy“ przecierpiał. Wyrazy, wypowiedziane z jakiemś nadziemskiem natchnieniem, przeraziły tchórzliwszych. Tłum zaczął się wahać i cofać. Na ten widok jednemu z apostołów z nad Renu zaiskrzyły się oczy. „Precz! ty psie polski“, ryknął głosem, w którym przebijała się cała wściekłość doznanego zawodu, równocześnie ręka jego wydobywa z pod bluzy ukryty tam rewolwer. „Precz!“ powtarza — a gdy Kowalczyk nie ustępuje — pada strzał, potem drugi i trzeci. — Nieszczęśliwy robotnik wyciąga ręce przed siebie, potem jedną chwyta się za piersi i pada bez jęku na mu-

rawę. Na ten widok straszne oburzenie ogarnia tłum ludu, ale oburzenie to w innym zwraca się kierunku. Żylaste pięści chwytają mordercę, za gardło, włosy, ręce, wydzierają mu rewolwer, biją i tratują, i wreszcie pół żywego oddają w ręce żandarmów.

Potem te same tłumy, jakby nagle innym natchnione duchem, rzucają się do ratunku i gaszą pożar. Kilku tylko zostaje na miejscu popełnionej zbrodni, i tym przypada w udziale smutny obowiązek odnieść martwe zwłoki Kowalczyka do jego chaty.

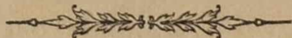
* * *

Nazajutrz te same tłumy z skruchą i pokorą zapełniają wnętrze kościoła. Strejk trwa jeszcze, ale robotnicy w spokoju oczekują końca rozpoczętych pertraktacyi.

* * *

Mówiono później, że pan radzca zamierza na grobie Kowalczyka wystawić pomnik piękny. Ale snać o tem zapomniał. Do dziś dnia stoi tam bowiem tylko skromny krzyżyk żelazny, jaki wystawili nieszczęśliwemu towarzysze pracy za pierwszą zwyżkę pracy przez strejk ów uzyskaną.

W hucie zresztą nic się nie zmieniło.



Historya prawdziwa

O BOGACZU GODULI.

Imię Karola Goduli przechowało się dotąd w żywej pamięci ludu górnoszląskiego. Z biegiem lat otoczono imię Goduli całym szeregiem baśni i podań, a niemal każda z nich przypisuje bogaczowi owemu siły nieczyste lub styczność ze złymi duchami. To dowodzi, że Godula nie musiał się za życia swego cieszyć miłością ludzi, że nie zasłużył sobie na dobre wspomnienie. I tak było rzeczywiście. Karol Godula był za życia niecierpianym i nienawidzonym od wszystkich niemal, co go znali, a umarł opuszczony, daleko od miejsca działania swego, wśród obcych, obojętnych ludzi, przeklinany przez jednych, nieżałowany przez drugich. Pomimo niezmiernych bogactw, jakie nagromadził różnemi sposobami w ciągu życia swego, umarł Godula w opuszczeniu. Obcy ludzie zamknęli mu powieki, obcy też ludzie złożyli go do grobu.

Dziwne koleje męża tego warto poznać, choćby dla tego jedynie, by przekonać się dowodnie, iż nawet największe bogactwa nie zdołają uczynić człowieka szczęśliwym, jeżeli sposób osiągnienia tych bogactw nie był prawdziwie zacnym i godziwym. Ale bądźmy zupełnie sprawiedliwymi! Z żywotu Goduli poznać też można, do czego to człowiek dojść może żelazną pracą i wytrwałością, zwłaszcza jeżeli i szczęście i okoliczności mu sprzyjają.

Karol Godula urodził się w Makoszowie, w powiecie gliwickim, a był synem ubogiego wyrobnika. Licząc lat zaledwie dziewięć, stracił rodziców, a ponieważ nikt się nim zająć nie chciał, wygnano go ze wsi. Przez pewien czas wałęsał się malec — żebrząc od wsi do wsi, aż wreszcie zaszedł do miasteczka Toszku. Tam zakradł się do szopy pewnego karczmarza i przespawszy się w niej, wstał nazajutrz rychło rano i zaczął się rozglądać, czyby czego zarobić lub użebrać nie mógł. Przed karczmą stało mnóztwo wozów, gdyż nie było wtedy jeszcze kolei żelaznych i wszyscy podróżowali końmi. Woźnice zajęci byli właśnie pojeniem koni. Jednemu z nich nie chciało się wody ze studni nosić, przywołał więc stojącego na uboczu chłopca i kazał jej sobie przynieść. Młody Godula uczynił to chętnie i otrzymał za to kilka mie-

dziaków. To zachęciło go do pracy. Odtąd stawał codziennie przed karczmą, znosił woźnicom wodę, otwierał i zamykał panom drzwiczki od kolas i pomagał służbie w kuchni, znosząc drwa, wodę, i pełniąc inne drobne posługi. Za pracę swą nie wymagał wiele, był zadowolonym, gdy otrzymał fenyg lub dwa, a pełnił usługi swe chętnie i żwawo, nie unikając nawet najtrudniejszych. Karczmarzowi spodobał się żwawy i pracowity chłopczyna, więc pozwolił mu przepędzać noce w szopie na sianie.

W ten sposób stanął dziewięcioletni zaledwie malec, jak to mówią: na własnych nogach i zarabiał sobie tyle, ile na utrzymanie życia potrzebował.

Tak minęło kilka tygodni. Razu pewnego zatrzymała się przed ową karczmą wspaniała kareta, w której siedział hrabia Ballestrem-Castellengo, dziedzic wsi Pławniowice i przyległości. Pan ten znanym był w całej okolicy ze swej dobroczynności i łagodności. Wiedząc o tem, przybliżył się karczmarz z należytą uniżonością do powozu hrabiowskiego i wskazując na stojącego opodal malca, rzekł:

— Panie Hrabio! Wałęsa się tu w koło domu mego chłopczyna, sierota, pracowity i zgrabny, lecz opuszczony od wszystkich. Ponieważ chłopca tego bardzo polubiłem, a sam pomódz mu nie mogę, polecam go

opiece i łasce pana hrabiego. Sądzę że można będzie wykierować go na porządnego człowieka, zdolności ma wielkie!

Hrabia przywołał młodego Godulę do powozu, zapytał go o to i owo, a otrzymawszy śmiałe i trafne odpowiedzi, kazał mu usiąść na koźle obok woźnicy i zabrał go z sobą. Tak dostał się młody Godula pod opiekę dobroczynnego magnata i wstąpił na drogę, która go z czasem zawieść miała do niezmiernych bogactw...

Hrabia Ballestrem oddał chłopca do urzędnika, zarządzającego jednym z hrabiowskich folwarków, kazał go ubierać i żywić porządnie i posełać do szkółki wiejskiej. Zaledwie atoli rok upłynął, gdy nauczyciel chłopca zjawił się pewnego dnia w pałacu i prosił hrabiego, by raczył młodego Godulę ze szkoły odebrać.

— Dla czego — zapytał hrabia, zachmurzywszy się — czy nie sprawuje się dobrze?

— O! co to, to nie, — odrzekł nauczyciel — lecz przyznać muszę, że odemnie już wiele nauczyć się nie może, gdyż umie prawie tyle, co ja. Nigdy w życiu nie widziałem jeszcze tak pojętnej głowy, tak niezmordowanej pilności i uwagi, jaką odznacza się młody Godula. Sądzę, że gdyby mógł uczę-

szczać do wyższej szkoły, wyszedłby z pewnością na wielkiego człowieka.

Hrabia Ballestrem pogładził się po brodzie z widocznem zadowoleniem, słysząc te pochwały, i odrzekł:

— A więc dobrze! Każę go dalej kształcić, lecz przyślij mi pan wpierw chłopca abym sam o zdolnościach i postępach jego mógł się przekonać.

I stało się, jak hrabia kazał. Młody Godula złożył przed hrabią świetny egzamin, a ponieważ i rządzca wystawił mu jaknajlepsze świadectwo, przeto dano mu mieszkanie w pałacu i pozwolono uczęszczać na lekcye, jakie pobierali młodzi hrabiczowie od nauczyciela domowego, wysoce wykształconego młodego księdza.

Szybko, bardzo szybko postępował, jak widzimy, ów wyjątkowy chłopiec po drabibinie powodzenia w górę. W przeciągu roku jednego dostał się z szopy karczemnej do dworku urzędnika, ztamtąd do pałacu hrabiowskiego!

Tam uczył się Godula z niezmordowaną pilnością i gorliwością i wnet prześcignął swych współuczniów. Gdy wreszcie ukończył rok czternasty życia, zawołał go stary hrabia przed siebie i zapytał łaskawie, jaki zawód pragnie sobie obrać?

— Chciałbym zostać strzelcem i leśniczym w służbie pana hrabiego — odpowiedział Godula.

Hrabia przychylił się do prośby młodzieńca i posłał go w lasy swoje, gdzie pod okiem doświadczonych urzędników miał się wyuczyć leśnictwa.

Ale niedługo cieszył się Godula nowym swym zawodem, niedługo poił się powietrzem leśnem i wonią jodeł. Los wyznaczył mu inne cele.

Lasy hrabiego Ballestrema na Pławniowicach pokrywały wtedy jeszcze daleko znaczniejsze przestrzenie, aniżeli dzisiaj. Drzewa w lasach tych taka była moc, i tak mało je sobie ceniono, że patrzano spokojnie na to, jak okoliczni chłopi nocami całe wozy drzewa z lasów wywozili. Taka gospodarka rozgniewała młodego Godulę do żywego, postanowił tedy raz na zawsze zapobiedz podobnemu marnowaniu dóbr hrabiowskich. W tym celu czynił liczne i częste zasadzki nocami, a owocem ich był spis wręczony sądowi okręgowemu, w którym Godula wymienił aż trzystu i dwóch gospodarzy okolicznych, jako złodziei drzewa. Śledztwo wytoczone stwierdziło winę wymienionych, wskutek czego ukarano ich bez wyjątku więzieniem.

W kilka miesięcy potem znaleźli wieśniacy, zdążający na targ do miasteczka, pewnego poranku nad drogą strasznie pokaleczonego młodego Godulę, przywiązanego do drzewa. Na pozór zdawało się, że leśniczy nie żyje. Głowę miał zwieszoną, oczy zamknięte, a całe ciało pokrwawione. Po chwili dopiero przekonano się, że Godula żyje jeszcze. Odwiązano go od drzewa i zawieziono do Toszku, gdzie lekarz opatrzył rany jego. Hrabia dowiedziawszy się o tem, kazał go pielęgnować z największą troskliwością. Wszyscy atoli wątpili, czy Godula z ran się wyleczy.

Taką była zemsta za ową denuncyacyę.

Młody Godula wyleczył się z ran rychlej, niżeli się spodziewano. Tylko lewa ręka pozostała na zawsze bezwładną i przez całe życie musiał ją nosić na pasku. Wypadek ten wpłynął też niekorzystnie na całe jego usposobienie. Był on już jako dziecko milczącym, skrytym, nieufającym nikomu; po tym wypadku stał się prawdziwym odludkiem, zamkniętym w sobie, nienawidzącym ludzi. Od tego też czasu podobno nie widział nikt uśmiechu na jego twarzy.

Zostawszy w ten sposób kaleką, nie mogł już młody Godula pełnić służby leśniczego, a co prawda, stracił też już i ochotę do tego zawodu. Gdy odzyskał siły, udał

się do hrabiego i prosił go, aby pozwolił mu uczyć się rólnictwa. Hrabia przystał na to chętnie, bo żal mu było chłopaka, który w służbie jego niemal życia nie stracił. Posłał go więc na jeden ze swych folwarków, aby tam zapoznał się z nowym zawodem. Zdatny do wszystkiego, pojął Godula w krótkim czasie główne zasady rólnictwa i stał się jednym z najlepszych urzędników hrabiowskich. To też, gdy ukończył dwudziesty rok życia, że był nad wiek swój rozważnym i wykształconym, hrabia Ballestrem zrobił go samodzielnym rządzcą na osobnym folwarku.

Na tem niezależnem stanowisku rozwinął Godula wysokie swoje zdolności. Folwark oddany mu w zarząd należał przedtem do najlichszych, a dzięki staraniom młodego rządzcy stał się za lat kilka najdonośniejszym ze wszystkich, jakie hrabia posiadał. Nocami całemi przesiadywał Godula nad książkami rólniczemi, które sobie posprowadzał z Francyi i Anglii, gdzie wówczas już rólnictwo stało na wysokim stopniu rozwoju, chcąc poznać różne sposoby lepszego gospodarstwa. On to zaczął jako jeden z najpierwszych na Górnym Szlązku mierzwić swe pola sztucznemi nawozami, a zwłaszcza mąką kościanną. On to sprowadzał jako jeden z najpierwszych różne machiny, przy po-



mocy których lepiej mógł ziemię uprawić i obsiać. Owoce tego postępowego gospodarstwa były nad wyraz świetne. Rola zaczęła wydawać trzy razy tyle ziarna co dawniej, a i karmione i pasione umiejętnie bydło przynosiło znaczne dochody. Młody Godula był w pracy niestrudzonym. Sam od rana do nocy zarządzał wszystkiem, dozorował ludzi, nic przed orlim wzrokiem jego nie uszło, wszędzie zajrzał, o wszystkiem sam się przekonał. Ludziom nie wierzył i śledził ich na każdym kroku, karząc srogo za najmniejsze przestępstwo. Niestety pojawiła się w nim ta bezmierna chęć wyzyskiwania pracy biedaków, którą później tyle nagrzeszył i przez którą ściągnął na siebie przekleństwo setek tysięcy biednego ludu. Lud ten u niego nie dojadł, nie dopił, ze znużenia upadał, ale gospodarstwo rozwijało się coraz to pomyślniej.

Hrabia nie posiadał się z radości. Z dumą zwoził na folwark Goduli swych gości, panów okolicznych, chełpiąc się postępami swego wychowańca. I wszyscy goście przyznać musieli, że podobnie znakomitego gospodarstwa na Górnym Szlązku jeszcze nie widzieli.

W pobliżu folwarku Goduli znajdowały się hrabiowskie huty cynkowe, z których hutnicy wytopione żużle kruszcowe („szlakę“),

wyrzucali na poblizką górę. Z biegiem lat zebrała się tych żużli druga góra prawdziwa. Razu pewnego, gdy hrabia Ballestrem, zwiedzając folwark Goduli zabierał się do odjazdu, przystąpił tenże do niego i zapytał, czyby mu hrabia owej góry wypalonych żużli nie chciał sprzedać wraz z kawałkiem ziemi przyległej. Hrabia zdziwił się wielce żądaniu temu i rzekł:

— A cóż ty chcesz począć z bezwartościowemi żużlami?

— To, panie hrabio, niechaj pozostanie na razie moja tajemnicą, odpowiedział Godula, pragnąłbym tylko wiedzieć, ile pan hrabia za ową górkę wraz z żużlami żąda?

— Nic za nią nie chcę — zawołał śmiejąc się hrabia — jeżeli ci o nią tak chodzi, to przyjmij ją odemnie w podarunku!

— Co to, to nie — odrzekł Godula — dziękuję panu hrabiemu za łaskę, lecz podarunku nie przyjmuję. Pragnę bowiem górę tę koniecznie kupić!

Hrabia rozśmiał się.

— Ciekawym wielce, co ty w tej górze upatrujesz? A więc dobrze, sprzedam ci ją, lecz jeźli byś na niej miał stracić, to ci pieniądze zwrócę.

— I na to przystać nie mogę, rzekł Godula. — Ofiaruję panu hrabiemu za nią

500 talarów i proszę, byśmy zawarli co do kupna tego sądową umowę.

Długo się jeszcze w ten sposób przekomarzali, aż wreszcie hrabia przystał na wszystko. Spisano więc kontrakt prawny i Godula stał się za 500 talarów panem owej góry. Godula wiedział, co kupuje, bo inaczej nie byłby przy swej chciwości wydawał tak wielkiej na owe czasy sumy za rzecz pozornie bezwartościową.

W owym czasie nie znano jeszcze dzisiejszych doskonałych sposobów wytapiania cynku z brył kruszcu surowego. Rzucano ot bryły te w ogień, w którym pękały, i wypuszczały zawarty w sobie metal. O zupełnym wyzyskaniu brył ani mowy być nie mogło, i znaczna część metalu pozostawała w żużlach.

Godula wiedział więc, że w owej górze na pozór bezwartościowych żużli, spoczywa jeszcze mnóstwo drogiego metalu. Czytając zaś różne księgi naukowe, dowiedział się był poprzednio, w jaki to sposób, znacznie już ulepszony, wytapiają cynk z surowej rudy w Belgii. Zakupiwszy więc ową górę, zbudował przy niej piec na wzór belgijskich, i zabrał się rączo do powtórnego przetopienia żużli. I cóż sądzisz, Czytelniku miły, ile też młody Godula z góry owej, którą kupił za pięćset talarów, zysku osięgnął?

Otóż otrzymał on za uzyskany z niej cynk gotówką więcej niż ośmdziesiąt tysięcy talarów!

W ten sposób stał się młody Godula w jednym roku zamożnym człowiekiem. Cała okolica ze zdumieniem spoglądała na niego, a wszyscy właściciele hut cynkowych postanowili go naśladować.

Dorobiwszy się tak najniespodziewaniej znacznego mienia, pokłonił się Godula do stóp hrabiemu, podziękował za służbę i nabył na własność wieś rycerską Orzeszów. Sądzicie może, że Godula kupił ją jedynie dla tego, by na własnym kawałku roli zużytkować wielkie swe zdolności gospodarcze? Ale gdzież tam! Przy kupnie wsi tej nie chodziło mu wcale o rólnictwo. Orle jego oko dostrzegło bowiem w głębi gruntów orzeszowskich skarby niezmierne, sto razy większe od wszelkich skarbów, jakie mu powierzchnia ziemi wydać mogła. Skarbami temi były węgle kamienne, owe prawdziwe czarne dyamenty.

Przyznać trzeba, że Godula był jakby stworzonym na milionera. Umiał on nietylko zarabiać miliony, ale co ważniejsze, umiał je utrzymać w swem ręku i pomnażać. W owym zaś czasie o sowity zarobek nie było trudno. Tu i owdzie dopiero poczynano wydobywać z ziemi węgle kamienne,

zakładać fabryki i huty. Godula należał do najpierwszych, którzy się na podobne przedsiębiorstwa rzucili, a że posiadał wielką znajomość rzeczy i niemałe doświadczenie, przeto prześcignął swych współzawodników.

Objąwszy teraz Orzeszów na własność, założył kopalnie, które istnieją do dnia dzisiejszego i dziś jeszcze przynoszą setki tysięcy dochodu. Ale nie dosyć na tem. Po roku dokupił Godula poblizką wieś Bobrek, sądząc, że i tam znajdzie węgle w łonie ziemi. Zawiódł się wprawdzie, lecz z zawodu tego rad był wielce, zamiast węgli bowiem znalazł w głębi ziemi olbrzymi pokład rudy cynkowej.

Te dwie wsie i znajdujące się w ziemi ich pokłady węgla i cynku stały się źródłem bogactwa Goduli. Zaraz bowiem rozpoczął budowę olbrzymich hut na sposób belgijski, powiększył kopalnie i przez umiejętną gospodarkę wydobywał z ziemi tysiące po tysiącach. Wkrótce nabył jeszcze folwarki Szomberg i Bujaków, a i tam znalazł to, czego szukał. Odtąd rósł majątek Goduli jak na drożdżach, z setek tysięcy zrobiły się miliony, a tych zebrało się wnet więcej niż dziesięć.

Ta gonitwa za majątkiem znieczulała tymczasem coraz więcej serce Goduli, które zresztą, jak to już poprzednio powiedzieliśmy,

nie było nigdy czułem na nędzę ludzką. Dorobiwszy się znacznego mienia, zamknął się dziwny ten człowiek zupełnie w sobie i żył tylko dla siebie; całem jego marzeniem, jedynym celem, jaki mu się uśmiechał, było bezustanne pomnażanie posiadanego już majątku. Ten cel przyćmiewał wszystkie inne i nie dozwalał Goduli dojrzeć nędzy własnych robotników, którzy za ciężką, wyczerpującą siły pracę, pobierali zapłatę, która ich zaledwie od głodu chroniła.

Godula pozostał do śmierci swej kawalerem. W tej bezustannej gonitwie za skarbami nie miał może i czasu do pomyślenia o zawarciu małżeństwa. Żył on nader skromnie i ubierał się zawsze w suknie, jakie wtedy nosili niemal wszyscy chłopi górnoszlący. W jedzeniu i piciu był nader umiarkowanym i ponad mnożenie pieniędzy nie znał innej przyjemności. Później dopiero, gdy nagromadził miliony, zapragnął godności i starał się wszelkiemi sposobami zwrócić na siebie uwagę rządu. Tak naprzykład, gdy krótko po roku 1830-tym wydano w Berlinie nowe talary papierowe, posłał Godula do kasy państwowej milion talarów w srebrze i kazał sobie za nie dać nowych papierków talarowych. Papierkami temi zapłacił też później wieś Szomberk. Ale wszystkie jego zabiegi nie odniosły skutku, zwła-

szcza zabiegi o uzyskanie tytułu szlacheckiego i orderów.

Powiększając tak majątek swój corocznie, doszedł Godula wreszcie do posiadania olbrzymiej sumy czternastu milionów talarów czyli 42 milionów marek. Cóż więc dziwnego, że lud ciemny, dla którego to wyjątkowe i tak nagłe zbogacenie się Goduli było rzeczą niezrozumiałą, zaczął go posądzać o czary i styczność ze złemi duchami, zwłaszcza, że i zewnętrzna jego strona była niezwykłą i wzbudzała raczej przestrach aniżeli zaufanie. Powoli mniemanie to tak się w umysłach ludu zagnieździło, że kto tylko mógł, wolał Goduli unikać i nieraz ujrzawszy go z daleka, obejść dokoła kilkaset kroków, byle się tylko z nim nie spotkać. Pojawiła się też pogłoska, że Goduli nikt nic ukraść nie zdoła, bo sami dyabli pilnują skarbów jego i pogłoska ta sprawiła, że rzeczywiście mało kto ważył się wyciągnąć rękę po własność Goduli.

Tak było, gdy w roku 1847 wybuchł na Górnym Szlązku straszliwy głód połączony z tyfusem głodowym. Głód ten wyludniał całe wioski i miasteczka i srożył się długo. Żywność podrożała tak, że jeno zamożniejsi mogli się czemś lepszem pożywić. Głos ludu oskarżał głośno Godulę, że on to przez zaprowadzenie i niesumienne

wykonywanie angielskiego sposobu płacenia, tzw. truck-systemu głównie głód ten i nędzę wywołał. I oskarżenie to było poniekąd słusznem.

Gdy głód doszedł do największej grozy, dawał rząd, dawali panowie pieniądze, by ulżyć biedzie, nawet z najdalszych okolic wpływały składki i datki. Jeno Godula pozostał niewzruszonym. Patrzał on spokojnie i zimno na nędzę ludu i własnych robotników, lecz nie dał talara po nad to, co musiał, by ulżyć ogólnej nędzy. To też pomimo zabobonnego strachu, jaki lud przed nim uczuwał, ogarnął serca jego gniew straszny na bezlitośnego bogacza. Godula nie był odtąd życia swego pewnym, gdyż właśni robotnicy śmierć mu poprzysięgli. Utworzył sobie więc straż z opłacanych grubo chłopów i ci go dzień i noc pilnować musieli. Pięknie tę nędzę bogacza opisał w utworze swym „Kościół Miechowski“ ś. p. Ks. Proboszcz Bączek z Bytomia następującemi słowy:

Znane wam pewnie smutne losy jegomości,
Goduli, który bał się w swym domu nocować:
Noc w noc trzydziestu chłopa musiało pilnować
Straży w zamku szombierskim; jednak pełen trwogi
Na noc do Rokietnicy jeździł pan niebogi,
Albo aż do Wieszowy, a przyjąć nie chciano
W gminie pana, bogacza, bo się obawiano
Zemsty od jego chłopstwa.

Gdy wreszcie i wśród najbliższego otoczenia Goduli zaczął się pojawiać ów straszliwy wróg ludzkości, tyfus plamisty i głodowy, przeląkł się Godula jeszcze więcej, i rozpuściwszy straż swą a zabrawszy wszelkie skarby, uciekł do Wrocławia. Tymczasem choroba pobiegła za nim. Tyfus, przed którym uciekł z Górnego Szlązka, opadł go we Wrocławiu. Po kilku dniach, w znanym hotelu wrocławskim pod „złotą gęsią".

.... postrachem ścigany,
Umarł w Wrocławiu bogacz w świecie zawołany;
Tam na lichej mogile stoi krzyż drewniany!

Umarł, nie pojednawszy się z Bogiem, o którym w ciągu życia swego i bezustannej gonitwie za skarbami ziemskiemi zupełnie zapomniał. Nie pomogły zabiegi zacnego biskupa Latuszka, który, przejęty miłością bliźniego, pragnął duszę jego od zguby uratować. Biskup Latuszek starał się też nakłonić Godulę, by olbrzymi swój majątek dał na kościół i cele dobroczynne. Ale Godula nie uczynił tego i z myślą o swych skarbach zeszedł z tego świata, by złożyć rachunek przed Bogiem. A był to pewnie rachunek dla niego wielce niekorzystny......

Cały olbrzymi swój majątek zapisał krótko przed śmiercią trzyletniej córeczce swej gospodyni, Joannie Gryczyk, które to dziecko lubił bardzo za życia. Zarządzcą

pozostawionego majątku i opiekunem Joanny zamianował radzcę wrocławskiego Schefflera.

Ciało Goduli spoczywa na cmentarzu św. Wojciecha w Wrocławiu. Prosta płyta kamienna pokrywa grób jego, a skromny krzyżyk wznosi swe ramiona ku niebu, jakby błagał miłosierdzia dla duszy spoczywającego pod nim bogacza. Zresztą nie ma na grobie jego ani drzewka ani kwiatka, chłód jakiś dziwny, dreszczem przejmujący, wieje od niego.

Przedstawiłem powyżej Czytelnikom życie bogacza, jego przejścia i koleje. I to po co? Otóż nasamprzód, aby Czytelnicy z niniejszej opowieści mej poznali do czego to człowiek żelazną pracą, nauką i wytrwałością dojść może. Po drugie zaś na dowód, jak to smutnem, czczem i pustem czynią życie ludzkie: brak wiary, samolubstwo i brzydka chciwość. Pomyślmy oto, jakim by był przebieg życia Goduli, gdyby był znakomite swe zdolności użył nietylko na własne wzbogacenie, lecz też i dla dobra ludzkości, gdyby był się stał opiekunem i ojcem prawdziwym swych robotników. Otóż byłby w życiu szanowanym, cenionym i miłowanym, a nie nienawidzonym, nie byłby potrzebował starać się o zaszczyty i godności, bo te same byłyby spadły na niego, nie byłby po-

trzebował uciekać zagrożony niebezpieczeństwem życia, gdyż lud wdzięczny obroniłby go był własnemi piersiami od wszystkiego złego. Tak zaś zmarnował życie całe. Bo na cóż przydały mu się skarby nagromadzone, gdy za życia nie umiał ich użyć, a po śmierci ani cząsteczki zabrać z sobą nie mógł? Cóż miał z nich za korzyść? Chyba wieczny strach, aby mu ich nie skradziono, wieczne zgryzoty i niepewność jutra. Nienawidzony od wszystkich, przeszedł przez życie bez uśmiechu, bez wesela, ponury i zimny, i umarł wśród obcych, obojętnych ludzi.

Gdyby był postępował za życia drogą wiary, miłości i poświęcenia, wzbijałyby się dzisiaj za niego modlitwy z tysiąca piersi, jego przykład byłby świecił jak gwiazda przewodnia ludowi szląskiemu.

„O! naprawdę mówię wam, nie skarby i bogactwa czynią człowieka szczęśliwym, lecz wiara i uczynki dobre". Gdzie tych nie ma, tam nie ma życia...

O ile więc każdy powinien wziąć sobie zmarłego bogacza za wzór pracy i wytrwałości, o tyle powinien go przewyższać cnotami wiary i miłości, bo te jedynie opromieniają owoce pracy i pozwalają się cieszyć niemi należycie!



Historya
O KOWALU PASZKU.
(Legenda Raciborska).

I.

Było to mniej więcej przed pięciuset laty, w miesiącu lipcu, o rannej porze. Słońce piekło już dotkliwie i oświecało złotemi promieniami swemi rynek miasta Cieszyna, na którym pomimo nader dotkliwego upału zebrał się był tysiączny tłum ludu. W środku rynku stało wysokie rusztowanie, jaskrawem suknem obite i otoczone ze wszech stron szeregiem zbrojnych pachołków miejskich. Na rusztowaniu tem widniał z dala wysoki pieniek czerwony, w koło którego krzątało się kilku ludzi, również w czerwone przybranych szaty. Byli to pomocnicy kata cieszyńskiego. Kat sam stał na schódkach, wiodących na rusztowanie i z uwagą przypatrywał się pracy swych pomocników. Od czasu do czasu odzywał się do nich półgłosem, a gdy wreszcie ukończyli wszelkie przygotowania wszedł na rusztowanie, rzucił

okiem znawcy wkoło i następnie wyjął z wielkiego puzdra błyszczący ciężki topór. Obejrzawszy go na wszystkie strony oparł się na nim i z wielką powagą spoglądał przed siebie.

Tłum ludu tymczasem falował po rynku, cisnąc się już to pod samo rusztowanie, już to w stronę więzienia miejskiego, z którego lada chwilę przyprowadzić miano zbrodniarza. Wreszcie odezwał się z poblizkiej wieży dzwonek grzeszników a równocześnie otwarła się brama więzienia. Najprzód wyszło z niej kilku pachołków miejskich, zbrojnych w miecze i dzidy, następnie ukazał się sędzia, niosący w ręku zwinięty pergamin, na którym wyrok spisano. Po za sędzią postępowali radni miejscy, za nimi znowu zbrojni pachołkowie, w których środku kroczył przybrany w szarą włosienicę skazany, z miną wielce skruszoną, słuchając z widocznem skupieniem ducha słów pociechy, udzielanej mu przez idącego obok zakonnika. Był to mężczyzna liczący lat może czterdzieści, krępy, barczysty, o śniadej i brodatej twarzy, na której obok chwilowej skruchy przebijała się bardzo widocznie dawna dzikość i okrutność. Znany to był rozbójnik, który od kilku lat już rabował po okolicy Cieszyna i niejednę duszę ludzką miał na sumieniu. Ujęty przed kilku tygodniami miał teraz

głową przypłacić liczne swe zbrodnie. Z początku zamierzano go powiesić, lecz że okazywał wielką skruchę i żałował za grzechy swoje, przeto wyznaczono mu mniej hańbiącą karę śmierci, to jest ścięcie.

Zwolna postępował teraz orszak wiodący skazanego przez gęsty tłum ludu ku rusztowaniu. „Patrzcie to on, to on!“ wołano wśród ludu, wskazując palcem ku zbrodniarzowi. „A jaki skruszony i potulny — odezwała jakaś baba — nikt by nie myślał, że to jest ów straszny rozbójnik, który już tylu niewinnych ludzi z zimną krwią na drugi świat przeprawił“.

— A no! — odpowiedział ktoś z tłumu — śmierć zadawać łatwiej, niż samemu głowę pod jej kosę nadstawić. Najtwardszy też zmięknie na widok topora i kata.

Tuż pod rusztowaniem stało dwóch mężczyzn, po których strojach od razu poznać było kowali. „Paszek! patrz no, czy to ten?“ — odezwał się nagle starszy do młodszego, gdy orszak ze zbrodniarzem zbliżył się ku nim.

— Ten sam, jak mi Bóg miły! — odpowiedział młodszy, przyglądając się bacznie skazanemu. — Pamiętam go dobrze, chociaż to już pięć lat temu, jak go schwytano w Raciborzu. Łotrzyk uciekł wówczas, chociaż z rozkazu władzy dobrze mu ręce skułem

kajdanami. Aleć długo się nie bawił, i co go minęło w Raciborzu, tu go spotka.

— A czas też już największy, że da gardło, boć już ludziska rady sobie nie wiedzieli! — dodał starszy.

Obaj umilkli teraz, bo orszak wszedł już na rusztowanie. Sędzia rozwinął pergamin i odczytał wyrok, wśród grobowego milczenia, jakie zapanowało wśród tłumu. Gdy skończył czytanie, zapytał się głośno skazanego, czy ma jeszcze co do nadmienienia?

— Tak, odpowiedział z pokorą zbrodniarz — chciałbym się jeszcze zapytać, czy nie ma wśród tłumu tu kogo z Raciborza?

— A to na co? — zapytał szorstko sędzia.

— Chciałbym mu powierzyć pewną tajemnicę, której ze sobą na tamten świat zabrać nie chcę!

Sędzia zastanowił się przez chwilkę, spojrzał na radnych i zakonnika, a gdy ci milczeli, odezwał się z powagą:

— A więc mów! ale spiesz się, bo nie mamy czasu do stracenia.

Następnie skinął na pachołków, którzy przywiedli skazanego na brzeg rusztowania. Ztamtąd odezwał się on głośno do ludu:

— Hej! jest tu kto z Raciborza?

Po tych słowach nastało chwilowe milczenie. Zbrodniarz patrzał z uwagą na ludzi a ci na niego, lecz nikt na wezwanie nie odpowiedział. „Paszek, idźże przecież, pocóż stoisz, jak słup?“ — odezwał się wreszcie głos jakiś, a był to głos starszego kowala. Wszyscy spojrzeli w stronę, z której głos ów pochodził. Paszek zmieszał się wielce, ale jakoś nie miał ochoty się odezwać. Za to towarzysz jego zawołał głośno:

— Jest tu panie sędzio! rodowity Raciborzanin, jeno obawia się wystąpić.

— Niechaj się zbliży! — odezwał się sędzia — włos mu z głowy nie spadnie!

Popychany przez starszego kowala postąpił Paszek naprzód i wielce zmieszany, wszedł powoli na rusztowanie.

— Wyście to z Raciborza? — zapytał się raz jeszcze sędzia, mierząc Paszka od stóp do głów surowym wzrokiem.

— Tak! Panie! odpowiedział zagadnięty, kłaniając się do nóg sędziego.

— A więc spełnij życzenie skazanego, pomny na to, że umierającemu żadnej przysługi odmówić się nie godzi.

Mówiąc to cofnął się o krok i dał znak pachołkom, aby również się cofnęli. Gdy to się stało, uchwycił skazany Paszka za rękę i pociągnąwszy go na bok przemówił

do niego tak cichym głosem, iż nikt z obecnych słyszeć tego nie mógł:

— Znam Cię! Tyś mnie bowiem w Raciborzu przed laty w kajdany okuwał. Ale nie warto dziś już o tem mówić. Za chwilę już mnie nie będzie, chcę ci więc wyjawić pewną tajemnicę i powierzyć ci ważne zlecenie do spełnienia. W lesie nazwanym Oborą, pod Raciborzem, zakopałem przed laty wszelkie skarby, jakie nagromadziłem z kradzieży i rabunków. Poznasz to miejsce łatwo po trzech dębach, z których jeden jest okuty obręczą mosiężną. Idź więc tam, wydobądź skarby owe i rozdziel je na Kościół i na ubogich. Nakazał mi to uczynić ten oto zakonnik, który jako sługa Boży skarbów owych tknąć się nie chce. Ale pamiętaj, nie zatrzymuj nic dla siebie, bo byś srogi grzech popełnił. Poprzysięgnij na zbawienie duszy twej, że zrobisz jak ci mówię!

— Przysięgam! — odpowiedział ledwie dosłyszalnym głosem Paszak, któremu na przemian zimno i gorąco się robiło.

— A więc idź w pokoju i o przysiędze nie zapomnij. A módl się też za duszę moją!

Mówiąc te słowa, puścił skazany dłoń Paszka i zbliżył się z pokorą do zakonnika. Paszek zaś zbiegł szybko z rusztowania i przyłączył się do towarzysza swego.

— Co ci powiedział? — zapytał się tenże Paszka po cichu.

— Powiem Wam później — odrzekł Paszek, teraz chodźcie lepiej do domu, póki są ludzie zajęci tem, co na rusztowaniu się dzieje, bo później z ciekawości spokoju mi nie dadzą. Patrzcie, oto już teraz spoglądają na mnie, jak na raroga!

Towarzysz Paszka obejrzał się do koła i obaczył, iż rzeczywiście wielu raczej ku nim niż ku rusztowaniu spoglądało. Chętnie wprawdzie byłby wytrwał aż do końca spełnienia wyroku, ale ciekawość przemogła. Korzystając więc z dogodnej chwili pociągnął Paszka za sobą i zaczął się przeciskać powoli przez tłum ludzi. Raz tylko odezwał się do nich ktoś ze znajomych:

— Hej! Paszek? a cóż ci łotrzyk tam powiedział?

— Co? — odrzekł zamiast Paszka starszy towarzysz jego. — Oto polecił mu pozdrowić swoją kochankę czarownicę i powiedzieć jej, by po nim nie płakała!

Słowa te rozśmieszyły wszystkich. Posypały się też z różnych stron żarty i dowcipy. Nasi kowale wydobyli się zaś coprędzej z tłumu i boczną uliczką podążyli do domu. Tymczasem na rusztowaniu odbyło się wszystko w zwykłym porządku. Ściętego zbrodniarza włożono do trumny i wywieziono

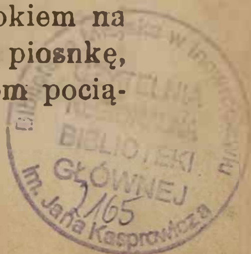
za miasto, tłum rozbiegł się w większej części do domu, a pomocnicy kata w kilku godzinach usunęli rusztowanie. Jedynie tu i owdzie zbierały się gromadki ludzi, którzy z wielkiem zajęciem opowiadali sobie szczegóły o ziemskiej karze, jaka spotkała przed chwilą znanego zbrodniarza.

II.

Paszek pochodził rzeczywiście z Raciborza i był synem ubogiego rzemieślnika. Rodzice rychło mu umarli, a on wyuczywszy się rzemiosła kowalskiego udał się na wędrówkę, w ciągu której zaszedł do Cieszyna. Tu znalazł zatrudnienie u kowala Czajki, którego poznaliśmy już w przeszłym rozdziale, jako towarzysza naszego Paszka. Czajka polubił szczerze młodego Raciborzanina a i Paszek był z nowej swej służby wielce zadowolony. Pokochał on bowiem całem sercem Hankę, jedyną córkę swego mistrza, i chętnie pragnął ją poślubić. Ojciec Hanki cieszył się z tego szczerze, bo znał pracowitość i roztropność swego czeladnika i wiedział, że bez obawy może mu szczęście jedynego dziecka powierzyć.

Tak rzeczy stały, gdy wydarzył się wypadek, opisany w przeszłym rozdziale. Widzieliśmy tam, iż obaj kowale bocznemi

uliczkami chyłkiem do domu swego się udali, by ujść zbytniej ciekawości zgromadzonego ludu. W drodze już opowiedział Paszek przyszłemu teściowi swemu cichym głosem tajemnicę, którą powierzył mu skazany na rusztowaniu. Czajka usłyszawszy to zamyślił się i nic nie odpowiedział. Tymczasem doszli już do małego domku na przedmieściu, okolonego małym ogródkiem, po za którym widniała kuźnia niewielka. Była to posiadłość Czajki. Wstąpiwszy do sieni, powitani zostali obaj kowale przez piękną dwudziestoletnią dziewczynę, która z wielką ciekawością wypytywać się ich zaczęła o przebieg całej egzekucyi. Paszek miał wielką ochotę wszystko co widział był jak najdokładniej jej opowiedzieć, boć była to jego ukochana Hanka, lecz stary Czajka na to nie zezwolił. — „Później opowiemy ci wszystko — rzekł do córki — teraz bowiem mamy ważniejszą rzecz do załatwienia. Nie przeszkadzaj nam więc, lecz zakrzątaj się około obiadu. Gdyby zaś kto z obcych miał się o nas pytać, to powiedz mu, żeśmy jeszcze nie wrócili". Posłuszna córka spełniła wolę ojca, chociaż słowa jego zdziwiły i zaciekawiły ją jeszcze więcej. Ale zapanowała nad sobą i rzuciwszy czułym wzrokiem na narzeczonego udała się, nucąc wesołą piosnkę, do kuchni. Stary Czajka tymczasem pocią-



gnął Paszka do swej komory i zamknął za sobą drzwi na klucz. Zabezpieczywszy się tak przed ciekawością i natręctwem ludzi zapytał się Paszka przyciszonym głosem:

— Wierzysz ty w to, co ci zbrodniarz ów powiedział?

— Wierzę — odpowiedział Paszek — boć nikomu w takiej chwili, gdy już miecz wisi nad karkiem, kłamać i ludzi zwodzić by się nie chciało.

— A więc co chcesz teraz uczynić?

— Co? Oto pojadę do owego lasu i skarb odkopię.

— A co potem? zapytał się Czajka natarczywie.

— Rozdam go według woli i wskazówki nieboszczyka.

Stary Czajka machnął ręką, jakby chciał zdziwienie swoje tem wyrazić, potem począł biegać po izbie w wielkiem zamyśleniu. Snać myśl jakaś bezustannie po mózgu mu się plątała. Wreszcie zatrzymał się przed Paszkiem i zapytał się:

— A jak sądzisz, będzie tam wiele tych skarbów?

— Hm! trudno wiedzieć — odparł Paszek — aleć pewnie będzie tego sporo, boć łotrzyk ów przez lat kilka w okolicy Raciborza rabował i pewnie nie mało dobra ludzkiego nagromadził.

— A więc myślę — zawołał Czajka — że oddając wszystko na Kościół i ubogich popełniłbyś największe głupstwo i wielką krzywdę względem samego siebie.

Mówiąc to, spojrzał bacznie w oczy Paszka i usiadł na ławie naprzeciw niego. Paszek na razie nic nie odpowiedział. Kręcił tylko głową i patrzał przed siebie, wreszcie odezwał się nieśmiało:

— Aleć wola zmarłego świętą być powinna!...

— To też bynajmniej woli tej nie ubliżysz, jeżeli chociaż tylko część skarbów rozdasz na Kościół i na ubogich, a resztę sobie zatrzymasz. Kto ci bowiem wynagrodzi daleką drogę do Raciborza i trud i niebezpieczeństwo, na jakie się narazisz?

— Spełnię dobry uczynek.

— Ba! łatwo to powiedzieć, ale trudniej wykonać — odpowiedział Czajka. — Ja bo radzę ci zatrzymać przynajmniej część skarbów dla siebie. Przydadzą ci się wielce, gdy ożenisz się z Hanką. Zresztą nie potrzebujesz przecie brać tych pieniędzy na swą własność, tylko jako rodzaj pożyczki, którą zwrócisz Kościołowi i ubogim hojnie, gdy się dorobisz.

— A nuż ów zakonnik, który to spowiadał owego łotrzyka, wie, ile się tam znaj-

duje skarbów i nuż oskarży mnie przed władzą?

— Nie obawiaj się, nie uczyni on tego, bo rad będzie, gdy mu chociaż część pewną skarbów zaniesiesz. Jemu przecież nie wolno zdradzać tajemnicy, jaką powierzono mu przy spowiedzi.

Paszek znowu pokręcił głową i jakoś w żaden sposób nie chciał się dać przekonać: Poczciwe serce jego wzdrygało się na myśl, iż dla siebie ma coś zatrzymać z pieniędzy, pochodzących z rabunków, a więc z krzywdy ludzkiej, a przeznaczonych, w celu przebłagania Boga, na cele dobroczynne. Mówił więc, iżby ściągnął na siebie gniew Boży, iżby mu się w życiu nie wiodło, gdyby to miał uczynić, ale stary Czajka nie dał się odwieść od swego zapatrywania. Stary uważał cały ten wypadek za najszczęśliwszy traf dla przyszłego zięcia swego, traf, z którego nie korzystać, znaczyłoby zdaniem jego, to samo, co o własne dobro nie dbać. W duszy już wyobrażał sobie Czajka szczęście swej córki, że zostanie wielką panią, owe wielkie warsztaty kowalskie, jakie Paszek za znalezione pieniądze wybuduje i wiele innych pięknych rzeczy, zapominając zupełnie, że źle wychodzi na tem ten, który tylko o ziemskie a nie o przyszłe niebieskie dobro się stara. Nie zważał też na to, iż na-

mawia zięcia swego do czynu wielce grzesznego, bo do zatrzymania cudzego grosza. Chęć zbogacenia się owładnęła bowiem tak dalece duszą jego, szatan tak piękne poddawał mu obrazy i widoki, że Czajka zapomniał o wszystkiem, o Bogu, o życiu pośmiertnem, o karze Boskiej, i wszelkiemi sposobami starał się zięcia swego do grzesznego czynu nakłonić.

Paszek słuchał z razu podszeptów starego Czajki z wielką niechęcią. Upierał się długo przy swojem, ale gdy mu Czajka przedstawiał coraz to piękniejsze obrazy szczęścia w przyszłości, gdy go zaklinać zaczął na szczęście Hanki, wtedy dusza młodego kowala słabła coraz bardziej a bardziej. Bo też stary Czajka gadał, jak filozof jaki! Snać mu szatan udzielił wymowy, by za jaką bądź cenę złamać cnotę Paszka i wszelkie jego słuszne obawy i wątpliwości pokonać. Wreszcie przejął się Paszek sam na dobre myślami starego i przyrzekł uroczyście spełnić jego wolę.

Umówili się więc co do czasu i sposobu podróży i co do innych szczegółów i gdy tak wszystko należycie uradzili, opuścili komorę i udali się do izby, w której skrzętna Hanka już od dawna z skromnym czekała na nich obiadem.

III.

Słońce chyliło się już ku zachodowi, gdy traktem wiodącym z Wodzisławia do Raciborza toczył się zwolna niewielki wózek, pokryty płachtą płócienną. W wózku tym siedziało dwóch podróżnych. Po zmęczonym widocznie i okrytym kurzem i potem koniku poznać było można, iż podróżni przebyli już dość daleką drogę. Byli to nasi kowale z Cieszyna, którzy podążali do lasku raciborskiego po ów skarb ukryty. Już od dni dwóch znajdowali się w podróży. Obrali sobie bowiem umyślnie trakt dalszy i jak najmniej uczęszczany, zbaczali często z drogi, by ominąć miasta i wsie znaczniejsze, nie chcąc zwracać na siebie uwagi ludzi.

Jechali tak w milczeniu wśród olbrzymiego lasu, jaki wówczas pokrywał całą niemal przestrzeń od Wodzisławia aż pod sam Racibórz. Wśród uroczystej ciszy lasu, przerywanej jedynie od czasu do czasu stukaniem dzięcioła, wołaniem kukułki lub śpiewem ptaszków leśnych, marzyli podróżni nasi o przyszłem szczęściu, do jakiego dojdą przy pomocy skarbu, po który jechali. Na twarzy starego Czajki widniała gorączkowa niecierpliwość, podczas gdy twarz Paszka pokrywała bladość połączona z smutkiem. Ciężką bo on też walkę z sobą staczał do tej chwili, i dawno już wyrzekłby się był

dla spokoju duszy całego skarbu i wszelkich połączonych z nim nadziei, gdyby nie miłość jego do Hanki. Ta miłość podtrzymywała jego plany, wszczepione zręcznie w serce jego przez starego Czajkę. „Czynię to dla niej, dla mej żony przyszłej“ — mawiał sobie Paszek w chwilach, gdy mu coraz więcej sumienie dogryzało, — „a nie dla siebie. Toć chcę tylko jej los zapewnić. Bóg też łaskawym będzie i miłosiernym!“

Tymczasem las po obu stronach drogi rzedniał coraz więcej i z chwilą, gdy słońce podobne do tarczy czerwonej znikło po za dalekiemi lasu krańcami, wyjechali podróżni nasi na otwarte pole. Przed nimi czerniły się domostwa jakiejś wioski, po nad które wznosiła się ku obłokom wysmukła wieżyczka wiejskiego kościółka, zdobna w krzyż pozłacany.

— Co to za wieś? — zapytał stary Czajka Paszka, który z głową zwieszoną siedział i zdawał się nawet nie wiedzieć, iż już z lasu wyjechali.

Zagadnięty rozejrzał się wkoło i wychyliwszy nieco głowę po za płótno wózka zawołał: „Toć to już Brzezie!“

— A zatem jesteśmy u celu! — odpowiedział uradowany tak miłą nowiną Czajka i zaciął konia, by coprędzej do wsi doje-

chać. — „A gdzież to ów las Oborą zwany?“ — pytał dalej.

— Tam przed nami po za wsią! — odrzekł Paszek i wskazał ręką przed siebie.

— Hm! nie daleko! tem lepiej — mruknął Czajka i coraz silniej konia zacinać począł. Wózek potoczył się też szybko i niebawem stanęli we wsi przed karczmą, którą dzierżył żyd stary, zwany ogólnie Abramkiem. Stał on właśnie przed chatą i odmawiał wieczorne pacierze swoje, gdy podróżni zajechali. Obejrzał sobie najprzód okiem znawcy wózek cały, konia, podróżnych, którzy wyskoczyli właśnie z wózka i zbliżyli się ku niemu.

— Ny! a zkąd to Bóg prowadzi? — zapytał się grzecznie na powitanie.

— Z Cieszyna — odpowiedział Paszek — a jedziemy do Raciborza i chcemy u was przenocować, bo i tak by już nas o tej porze do miasta nie wpuszczono!

— Tak! tak! — przywtórzył żyd, rad iż będzie mógł coś zarobić — a cóżto macie w Raciborzu za interes?

— Chcielibyśmy kuźnię jaką tam nabyć, bośmy kowale — odpowiedział Paszek i przystąpił do Czajki, by mu pomódz przy wyprząganiu konia.

Żyd zapytał jeszcze o to i owo, poczem udał się do chaty, by przygotować nocleg

dla podróżnych. Zmrok już pokrył ziemię, gdy podróżni nasi nakarmili konia, wóz wepchnęli na podwórze i dobrze go opatrzywszy weszli do izby gościnnej, by skromną posilić się wieczerzą. Zmęczeni długą podróżą wczas udali się na spoczynek. Nie wieleć to oni wymagali wygody. Trochę słomy rozpostartej na podłodze w gościnnej izbie karczemnej i własne dery wełniane, oto całe ich posłanie, na którem tak wygodnie spoczywali, jak inni na miękkich łożach i wezgłowiach. Noc tymczasem zapadła ciemna i wietrzna. Niebo bowiem pokryło się nad wieczorem gęstemi i czarnemi chmurami. Z poza Odry dochodził od czasu do czasu odgłos grzmotu silnego, który wzrastał z każdą chwilą, znak, iż burza się zbliżała. We wsi i w karczmie wszystko już spoczywało. Cisza panowała wkoło smutna i ponura, jak zwykle przed burzą. Północ była jeszcze daleko, gdy Czajka podniósł się cichuteńko z ziemi i trącił lekko leżącego obok Paszka.

— Czas już na nas! — wyszeptał.

Paszek zerwał się na równe nogi. — „Kiedy czas, to dalej do dzieła“ — odpowiedział i obaj poczęli się szybko ubierać. W tem pierwsza błyskawica rozświeciła na chwilę izbę a cokolwiek później odezwał się silniejszy odgłos grzmotu.

Jeszcze echo gromu brzmiało złowrogo w oddali, gdy Czajka cichuteńko zbliżył się do drzwi izby i odsunąwszy zasuwkę zwolna je otworzył. Następnie wyjął z zanadrza małą blaszankę napełnioną oliwą i zbliżył się do wielkich drzwi, które sień zamykały od strony podwórza. Tu napuścił w zamek i zawiasy oliwy, by nie skrzypiały przy otwieraniu, następnie przekręcił klucz, który na szczęście tkwiał w zamku. Zamki cichuteńko się usunęły. Czajka nacisnął na klamkę i otworzył drzwi bez najmniejszego szelestu. Świeże nocne powietrze owiało teraz rozgrzane skronie naszych podróżnych, którzy rozejrzawszy się wpierw po całem otoczeniu, na palcach wysunęli się na podwórze. Następnie zbliżyli się do wozu swego i wyjęli z niego różne narzędzia, jako to kilofki, łopaty, miech i latarkę. Tak uzbrojeni przeskoczyli przez płot i wydostali się na otwarte pole.

— Szczęście nam sprzyja — odezwał się Czajka półgłosem, gdy już na kilkadziesiąt kroków oddalili się od podwórza — pomyśl tylko, coby to była za trudna sprawa, gdyby karczmarz chociaż jednego psa miał na podwórzu. Bylibyśmy musieli cały plan nasz zmienić, bo przecie trudno by było w takim razie wydostać się bez hałasu na podwórze!

— I burza nam się przysłuży! — odpowiedział Paszek — przyznam się jednakże, że ta nocna wyprawa nasza mi się nie podoba. Nuż nas bowiem kto podpatrzy?

— Eh! próżna obawa! Komu bowiem chciałoby się o tej porze wobec zbliżającej się burzy z domu wychodzić. Wszystko pójdzie jak z płatka, zobaczysz, jeżeli tylko znasz dobrze drogę.

— O to już nie miejcie kłopotu, drogę do lasu przez pole, którędy idziemy znam tak, że po omacku bym trafił. Wiem też w której stronie dęby samotnie rosną pomiędzy sosnami i nie trudno mi będzie owe trzy drzewa odnaleźć, zwłaszcza, że jedno ma mieć obręcz mosiężną, w koło pnia swego.

— A długo to pójdziemy do owej Obory? — zapytał się teraz Czajka.

— Dobre pół godziny — odpowiedział Paszek — pozostanie nam więc jeszcze kilka godzin nocy do odnalezienia miejsca i skarbu.

— Bylebyśmy tylko na ślad dobry trafili — dodał Czajka.

Rozmawiając tak, uszli już kawał drogi. Paszek szedł naprzód i wiódł towarzysza swego wązkiemi i krętemi ścieżkami lub miedziami wśród łanów zboża, krzaków różnych i zarośli, raz pod górę to znów z góry. Tymczasem po drugiej strony Odry burza szalała już w najlepsze. Piorun bił po pioru-

nie, a jaskrawe światło błyskawic przerywało co chwilę ciemności nocne. Paszek żegnał się wówczas i odmawiał modlitwy, podczas gdy Czajka szedł za nim na nic nie zważając, jeno zatopiony w myślach o owym skarbie.

Wreszcie zaczerniło się coś przed nimi.

— Oto las! — zawołał Paszek.

— Dzięki Bogu! — odrzekł uradowany Czajka, wysuwając się naprzód — prowadź więc dalej.

Wszedłszy pomiędzy drzewa zapalili latarkę i przy świetle jej postępowali dalej. Las był w tem miejscu dębowy i tak gęsty, że trudno się było pomiędzy pniami olbrzymiemi i krzewami przecisnąć. Pioruny budziły w lesie tym bezustanne echo, tak potężne nieraz i groźne, że Paszkowi z trwogi serce jakby młotem biło w piersiach. Modlił się więc ustawicznie i ślubował Bogu, że pomimo przyrzeczeń danych Czajce, odda cały skarb znaleziony na Kościół i ubogich. Bo też strasznie było w tym lesie. Słaby blask latarki oświecał jedynie ciasne koło, po za którem czerniał się las niby otchłań piekielna. Gąszcza, przez które właśnie przechodzili, żadna prawie błyskawica nie oświecała, ponieważ przez potężne konary i sploty gałęzi, które tworzyły dach prawdziwy, wcale przedostać się nie mogły. Za to echo brzmiało

w lesie głośno i złowrogo, bo pioruny po drugiej stronie Odry chociaż słabły widocznie, to nie ustawały. Cóż więc dziwnego, że całe to ponure otoczenie strachem napełniało umysł młodego kowala, który i tak już z niechęcią na tę grzeszną, jak mawiał, wybrał się był wyprawę. Pomimo to postępował bezwiednie naprzód, znając prawie każdy kącik lasu tego, w którym będąc jeszcze niedorostkiem, całemi dniami przesiadywał.

Inaczej było z Czajką. Ten liczył w myśli naprzód już skarby i tworzył plany najróżniejsze. Zatopiony w obliczeniach zapomniał o wszystkiem, o strachu, o piorunach, o Bogu. Postępowali tak naprzód w milczeniu. Wreszcie las stał się rzadszym. Przed nimi wznosiła się góra, pokryta przeważnie sosnami, wśród których tu i owdzie zaledwie stały dęby.

— Tu na tej przestrzeni owe trzy dęby stać muszą — odezwał się wreszcie Paszek do idącego za nim Czajki i to tak cichym głosem, jak gdyby dźwięku własnej mowy się obawiał — po za nami mamy las dębowy, przed nami same sosny, jedynie tu, gdzie się oba lasy stykają są drzewa pomieszane. O ile sobie przypominam, to wiem nawet miejsce, na którem wśród samych sosen stoją trzy dęby potężne. Idźmy tam

więc i obaczmy, czy na jednym z nich obręczy nie ma.

Czajka nic nie odpowiedział, tylko w milczeniu postępował za Paszkiem, który niósł latarkę i świecił nią w około. Przybywszy do owych dębów obejrzeli się wkoło dokładnie, lecz na żadnym obręczy wspomnianej przez zbrodniarza nie dostrzegli. Dotknięci niemile tym zawodem puścili się dalej i oglądali przy świetle latarki wszystkie dęby w koło. Błąkali się tak po lesie jak błędne duchy jakie, chodząc od drzewa do drzewa. Minuta mijała tymczasem za minutą, odgłos piorunów stawał się z każdą chwilą słabszym, snać burza oddalała się wzdłuż Odry ku północy. Wiatr rozpędzał coraz więcej chmury zalegające niebo, na którego tle niebieskiem gdzie niegdzie gwiazdki się pojawiły. Mogło już być dawno po północy, gdy Paszek zatrzymał się wreszcie, stuknął łopatą o ziemię i zawołał:

— A no! Trudna rada. Dziś już pewnie dębu owego nie znajdziemy; dalej w las nie opłaci się szukuć. Może też w ogóle dąb taki nie istniał ani nie istnieje a nas łotrzyk ów w pole jeno wywiódł.

Czajka stał obok niego jakby oniemiały. I jego to długie bezowocowe szukanie już znużyło. Zawód jakiego doznał był o tyle boleśniejszym, o ile do niedawna jeszcze

najpiękniejszym oddawał się nadziejom. Z ciężkiem westchnieniem zdjął więc z ramienia kilofkę i łopatę swoją, a drugą ręką oparł się o najbliższe drzewo. Nie wiedział nawet, że drzewo to było dębem. Gniew straszny na chwilę go opanował. A więc po to tu przyjechali, tyle trudu i mozołu wyżyli by z niczem powrócić do domu? W niemym gniewie zatopił Czajka palce swe w miękkim mchu, który otaczał całe drzewo, i bezwiednie po korze drapać zaczął. Nagle wydał okrzyk zdziwienia i radości; palce jego natrafiły bowiem na jakiś zimny kawał metalu, ukrytego pod grubą warstwą mchu. — ,,Paszek! — zawołał — dawaj co żywo latarkę". Mówiąc to rzucił łopatę i obu rękami począł zrywać mech z kory. Paszek wzniósł tymczasem latarkę i przyświecał mu w zmudnej tej pracy. Czajka rwał szmaty jak opętany. Ogołocił też wkrótce znaczną część kory, na której przy świetle latarki dostrzegli teraz rzeczywiście cienką mosiężną obręcz, pokrytą w niektórych miejscach grubą warstwą rdzy.

— ,,Jest! Jest!" krzyczał Czajka w radosnem uniesieniu i rzuciwszy się Paszkowi na szyję, pijany szczęściem, całować go począł.

Chwilkę całą trzymali się tak w objęciach, uradowani tem nagłem odkryciem.

Następnie zabrali się do odszukania miejsca, w którem by skarb mógł się znajdować. Świecąc tak latarką na wszystkie strony, dostrzegli dopiero teraz, iż dąb z obręczą był rzeczywiście drzewem środkowem wśród trzech samotnie pomiędzy sosnami stojących dębów. W koło niego więc zaczęli stukać łopatami, w nadziei, że miejsce, w którym skarb spoczywa pod ziemią, głuchem odezwie się odgłosem. I nadzieja ta nie zawiodła ich. Już po kilku uderzeniach łopatą natrafili bowiem na to miejsce upragnione. Zawiesili więc latarkę na wystającej gałązce drzewa tak, aby dobrze im przy pracy świeciła i żwawo zabrali się do kopania. Pewność rychłego odnalezienia skarbu dodawała im sił niezwykłych, kopali też i rwali ziemię kilofkami, aż im pot kroplisty wystąpił na czoło. Wreszcie natrafił Paszek łopatą na jakiś przedmiot twardy, który po starannem odgarnięciu ziemi okazał się jako wieko skrzynki drewnianej, grubo obręczami żelaznemi okutej. Równocześnie zadźwięczała łopata Czajki, uderzywszy o spory kocieł mosiężny. — „Mamy skarb, mamy — zawołał przyciszonym i ochrypłym z wzruszenia głosem Czajka i odrzuciwszy łopatę, przykląkł i rękami ziemię odgarniać zaczął. To samo uczynił Paszek i wkrótce już odgarnęli ziemię tak daleko, iż tak kocieł, jako

też skrzynkę łatwo z ziemi wydobyć mogli. Oba te przedmioty okazały się niezwykle ciężkiemi, snać dużo w nich było pieniędzy i kosztowności. Odstawili je więc na bok i zabrali się do dalszego rozkopywania dołu. Wkrótce znaleźli jeszcze dwa spore garnki żelazne, pokryte tak samo jak kocieł żelaznemi pokrywkami i ściągnięte drutem grubym, dalej miech jakiś osmolony, zawierający o ile mu się zdawało większe kosztowności i naczynia drogie. Gdy już na wszystkie strony ziemię rozkopali i niczego więcej nie znaleźli, zaprzestali pracować i oparłszy się o swe łopaty, poczęli się naradzać, co teraz im uczynić wypada.

— Połów jest obfitszym, niż się spodziewałem — rzekł Czajka, spoglądając z radością na skarb odkopany — nie ma mowy, abyśmy go od razu zabrać mogli ze sobą; po raz drugi zaś powrócić tu nie możemy, bo nocy już nie wiele! Otwórzmy chyba naczynia i skrzynkę i co kosztowniejsze zabierzmy ze sobą, a resztę napowrót przyrzućmy ziemią, by zabrać je w stósowniejszej porze!

— Za wiele by to nam czasu zabrało — odrzekł Paszek — ponieważ przed świtem jeszcze musi chociaż jeden z nas być w karczmie, jeżeli nie ma paść na nas jakiekolwiek podejrzenie. Abramek to sprytny

żyd, czego nie wie, to odgadnie. Zresztą zostawić tu nie możemy ani odrobiny, boć we dnie za wiele ludzi po lesie się kręci. Widząc świeżo rozkopaną ziemię nie jeden by szukać zaczął i znalazłby z pewnością to, co byśmy zostawili.

— Cóż więc mamy zrobić, by wszystko uratować? — zapytał Czajka w widocznym kłopocie.

Paszek zamyślił się, lecz nic nie odpowiedział. Wreszcie myśl szczęśliwa zaświtała mu w głowie. — ,,Wiecie co zrobimy? — zawołał — oto poznosimy te skarby nasze po nad drogę, tam ukryjemy je w krzakach, i podczas gdy Wy przy nich czuwać będziecie, powrócę ja do wsi po wóz nasz i po rzeczy.

— A jeżeliby karczmarz zapytał, gdzie się tak nagle podziałem, to cóż mu na to odpowiesz?

— Hm, powiem mu, iż naprzód już do Raciborza podążyliście, by obejrzeć się za dobrą kwaterą. Jak mu uczciwie za nocleg zapłacę, to uwierzy!

— Dobrze więc — odrzekł Czajka — to zróbmy jak mówiłeś.

Zabrali się więc zaraz i znieśli najpierw skrzynię i kocieł, a następnie garnki i miech, który również był bardzo ciężkim. Wzdłuż drogi rozciągały się zarośla bardzo gęste

i nieprzejrzyste, tam więc ukryli wszystko. Gdy już skarby były schowane, usiadł Czajka na skrzynce, a Paszek podążył do wsi.

Był to też czas największy. Na wschodzie już niebo szarzało, gwiazdki na niebie bladły i znikały, powstał wietrzyk świeży i zapowiadał zbliżanie się dnia. Paszek kroczył szybko znaną sobie drogą. W głowie dziwnie mu jakoś szumiało. Wypadki przebytej nocy były tak nadzwyczajne i tak silne na nim wywarły wrażenie, że w żaden sposób uspokoić się nie mógł. Chwilami zdawało mu się, iż jest prostym złodziejem, który przybył zabrać to, co drudzy z rabunku nagromadzili. Powtórzył więc raz jeszcze ślub uczyniony w lesie, iż wszystko odda na cele dobroczynne, i lżej mu się jakoś na sercu zrobiło. Przybywszy do wsi, przebiegł chyłkiem przez pole po za opłotkami i przeskoczywszy przez płot znalazł się znów na podwórzu karczemnem. Tu odetchnął swobodnie, zajrzał do wozu, następnie poszedł do stajni, by konia napoić.

W karczmie jak i we wsi wszystko jeszcze spało. Dopiero po dobrej chwili, gdy już dobrze się rozjaśniło, odezwało się życie we wsi. Gospodarze podążali do pracy w pole, kobiety znosiły wodę ze studni i poiły bydło w oborach. I w karczmie ży-

dzi się przebudzili. Najpierw ukazała się młoda żydówka, która zajrzała do chlewa do krowy, następnie nabrała drzewa i powróciła z nim do kuchni, by przyrządzić śniadanie. Wreszcie ukazał się i sam karczmarz i stanął pod domem, by odprawić swe ranne modlitwy. Ujrzawszy Paszka, krzątającego się około wozu, pozdrowił go mile i zapytał, jak mu się spało.

— Źle! — odpowiedział zagadnięty — dla tego też wstaliśmy tak rychło. Towarzysz mój podążył już nawet naprzód do Raciborza, by kwaterę przygotować i rozejrzeć się po mieście...

Żyd bynajmniej się temu nie dziwił, boć wiedział, iż kto się w drogę wybiera, ten zaspać nie lubi. Zagadał więc jeszcze o niejednem, pożartował, życzył młodemu kowalowi wszystkiego dobrego i otrzymawszy od niego sowitą za nocleg zapłatę, dalej swe pacierze odmawiał. Paszek zaś zaprzągł coprędzej konia, wsiadł na wóz i opuścił Brzezie drogą wiodącą do Raciborza. Ale nie dojechał do miasta, bo nagle skręcił na drogę ku Kornowacowi i wjechał do lasku, pokrywającego jeszcze wówczas cały obszar, na którym później zbudowano tak zwaną dzisiaj Łukaszynę. Dojechawszy do zarośli, w których skarb pozostawili, zjechał z drogi i tak zręcznie stanął z wozem za wysokiemi

zaroślami, iż na pierwszy rzut oka nikt z drogi dojrzeć go nie mógł. Czajka tam już oczekiwał na niego. Szybko też naładowali skarby i narzędzia swoje na wóz i pokryli je grubą warstwą słomy i różnych rupieci, które z umysłu ze sobą przywieźli; następnie rozejrzeli się bacznie w koło, czy ich kto nie podglądał, a nie ujrzawszy żywej duszy w pobliżu, zacięli konia i drogą na Kornowac podążyli z powrotem do domu.

Jeszcze białe płótno wózka migało w oddali, gdy z poza gęstych krzaków, które rosły po obu stronach drogi, podniosła się niewielka jakaś postać ludzka i szybkim krokiem w ślad za wózkiem biedz poczęła. Byłto mały i słaby na pozór człowieczek, o brzydkiej, gęsto zarośniętej twarzy, na której świeciła para przenikliwych i przebiegłych oczek. Przez plecy miał przewieszoną torbę skórzaną, a w ręku dzierżył gruby kij sękaty i gęsto gwoździami ostremi nabijany. Śmiał się teraz sam do siebie, i to śmiechem wstrętnym i zjadliwym i z rzadką wytrwałością biegł za wozem. Trzymał się atoli zawsze w należytem od niego oddaleniu i zważał bacznie, by go nikt z drogi nie ujrzał. Za lada szelestem rzucał się z błyskawiczną szybkością na ziemię i bacznie kociemi oczami rozglądać się począł po okolicy. Gdy wóz podróżnych naszych

wolniej się toczył, zwalniał i mały człowieczek bieg swój, stawał, nadsłuchiwał, wreszcie rozśmiał się głośno i zniknął w zaroślach.

Paszek tymczasem zacinał konia, by jak najrychlej powrócić do domu. Pomimo zupełnego udania się wyprawy, nie był wesołym. Obawiał się bowiem, iż będzie musiał ciężką ze starym Czajką stoczyć walkę, zanim zdoła ślub swój wykonać. Czajka bowiem, o niczem innem już nie mówił ani mówić nie chciał, jak tylko o skarbach. Leżał rozciągnięty w tyle wozu na słomie, w której grzebał rękami i macał, co w miechu owym się znajduje lub dzwonił palcami po garnkach. Czasem zaśpiewał sobie jaką piosnkę i był wesół jak nigdy.

— ,,O będzie to rozkosz istna żyć teraz na świecie — odezwał się wreszcie — skończyła się bieda, skończyły się mozoły. Jesteśmy teraz panami!“ Mówiąc to, aż cmoknął z radości.

— Zapominacie jednakże — odrzekł Paszek poważnie — ile to krzywdy ludzkiej tkwi w tych skarbach, które wieziemy. Najlepiej też będzie. jeźli je na Kościół oddamy!

— Głupiś! — zawołał Czajka. — A czyś ty krzywdę ludziom wyrządził albo ja? Pomyśl lepiej nad tem, w jaki sposób skarby te dla nas najkorzystniej zużyjemy?

Paszek machnął ręką. Nie chciał już teraz sprzeczać się ze starym, którego szatan chciwości zupełnie opanował. Milczał więc i tylko konia zacinał. Czajka zaś, jakby na odpędzenie wywołanych uwagą Paszka wyrzutów sumienia nową piosnkę sobie zanucił. Wózek tymczasem toczył się dalej a dalej.

IV.

Cóż znaczą wszelkie dobre postanowienia ludzkie i szlachetne zamiary wobec sił rozpasanych namiętności, jeżeli człowiekowi braknie prawdziwego hartu duszy, jaki wytwarza jedynie prawdziwa wiara i na wskroś religijne usposobienie. Człowiek taki maleje w burzach życiowych, traci swą równowagę, upada niejednokrotnie i zamiast wznieść się ku upragnionej wyżynie grzęźnie coraz dalej w błoto grzechu i brzydkich chuci.

Tak było i z Paszkiem. W czasie długich swych wędrówek nie wypełniał należycie swych obowiązków religijnych, zapominał nieraz o Bogu i tak powoli obojętniał w wierze, iż jeno pozornie już mógł uchodzić za chrześcianina. Przyczyniło się do tego niemało i obcowanie z Czajką, który

co prawda w gruncie rzeczy był człowiekiem niezłym, lecz nader chciwym ziemskiego dobra. Ta namiętność naprowadzała go nieraz na manowce i odwodziła serce jego z prawej drogi, którą każdy uczciwy człowiek postępować powinien.

Pokazało się to mianowicie po powrocie kowali naszych z wycieczki po ów skarb ukryty. Żądza skarbów tak dalece opanowała duszę Czajki, że podczas gdy dawniej zamierzał przynajmniej część skarbów oddać na Kościół i na ubogich, to teraz ani odrobiny wydać nie chciał. Paszek ciężką z nim przez dni kilka staczał walkę. Prosił, zaklinał na ślub swój, gniewał się i zżymał, lecz nic nie pomogło. Czajka bowiem uparł się przy swojem i ani odrobiny wydać nie chciał. Wreszcie pogroził mu Paszek, że pójdzie do władzy i wszystko wyda i w ten sposób sumienie swe zaspokoi. Na to atoli otrzymał odpowiedź, iż jeźli to uczyni, to wyrzec się musi ręki Hanki, bo stary Czajka nie odda córki swej temu, kto sam szczęście, jakie mu przypadek zgotował, odrzuci lub podepce. To poskutkowało. Paszek zanadto kochał swą narzeczoną, iżby mógł się z myślą pogodzić, iż ma ją na zawsze utracić. Zmiękł więc od razu, przestał grozić i na nowo prosić i błagać począł. Wreszcie przy pomocy Hanki, udało mu się nakłonić

starego, iż przynajmniej zgodził się wydać na Kościół różne przedmioty i naczynia, które widocznie z rabunków kościelnych pochodziły. Te przedmioty miał Paszek wraz z niewielką kwotą pieniędzy zanieść temu zakonnikowi, który zbrodniarza owego na śmierć przysposabiał i powiedzieć mu, iż to jest wszystko, co w skarbie zbrodniarza znaleźli. Paszek pocieszał się przytem jeszcze nadzieją, iż skoro z Hanką się ożeni i zostanie panem całego majątku, to nie omieszka sowicie Kościołowi i biednym krzywdę wyrządzoną wynagrodzić.

Uradzono bowiem, iż zaraz po ślubie, który miał się odbyć niezadługo, opuszczą wszyscy Cieszyn, gdzie to ich nagłe zbogacenie się mogłoby u wielu wywołać pewne podejrzenie i przeniosą się do Raciborza. Tam rozgłosi Paszek, iż majątek jego pochodzi z bogatego spadku, jaki młoda żona jego otrzymała krótko przed ślubem, zakupi lub założy kuźnie wielkie i żyć będzie w dostatkach i w spokoju. Wkrótce po naradzie tej sprzedał Czajka kuźnię swoją sąsiadowi i przygotował wszystko do wyjazdu. Skarb znaleziony zapakowano do skrzynek dębowych, które Czajka sam zbił i okuł żelaznemi obręczami. Było tego sporo. Pieniędzy gotowych moc, oprócz tego drogich kamieni, pereł i ozdób złotych, srebrnych i in-

nych przedmiotów nie mało. Skrzynki te ukryli w różnych sprzętach, które niebawem zapakowali na wozy i przewieźli do Raciborza, dokąd już Paszek przed kilku dniami był podążył.

V.

Rok przeszło minął od przybycia Paszka i Czajki do Raciborza. Paszek był już właścicielem licznych warsztatów kowalskich, które mu wielkie przynosiły zyski. Czajka uchodził za jego wspólnika. Mieszkańcy Raciborza cieszyli się z przybycia tak zamożnego obywatela, zwłaszcza, że Paszek od samego początku liczne wszystkim wyświadczał przysługi, by sobie względy swych współobywateli zaskarbić. Niejeden z dawniejszych jego znajomych dziwił się nad nagłem Paszka zbogaceniem, lecz wierzył, iż zbogacenie to pochodzi ze spadku, jaki żona Paszka otrzymała. Paszek sam zmienił się w roku tym do niepoznania. Dobrobyt, w jaki opływał, zaszczyty, jakie mu wyświadczano, szacunek ludzi, tak na niego oddziałały, iż stał się panem całą gębą. Nosił się już z pańska, nabrał pańskich zwyczajów i czuł się najzupełniej szczęśliwym. Coraz też więcej przycichało w niem sumienie i rzadko już wspomniał, iż cały ten do-

bytek jego pochodzi że skarbu rozbójnika, na który wiele łez i nędzy ludzkiej zapewne się składało. Co więcej, gdyby mu ot teraz kazano chociaż drobnostkę ze skarbów tych oddać, byłby się zżymał i gniewał, bo już zbyt zasmakował w wygodnem pańskiem życiu. I w starym Czajce nie byłby już nikt poznał kowala, który jeszcze do niedawna ciężko na chleb powszedni pracował. I Czajka przebrał się z pańska, głowę dumnie nosił a do ludzi z góry przemawiał. Wpływ kowali naszych coraz więcej też objawiał się w całem życiu miejskiem. Burmistrz i radni miejscy kłaniali się im i żyli z nimi za pan brat, a to kowali naszych coraz więcej w dumę i pychę wbijało. — Jak to pieniądze człowieka zmienić mogą, gdy mu braknie silnej podstawy religijnej!

Ale wkrótce już zaszedł wypadek, który zakłócił spokój Paszkowi i o mało co na lepszą nie nawrócił go drogę. Było to tak. Razu pewnego wyszedł on sobie za miasto na przechadzkę, by zaczerpnąć świeżego powietrza, które w dniu tym było rzeczywiście wspaniałe. Przeszedł więc przez most miejski na drugą stronę Odry, pomówił chwilkę z wójtem zamkowym, który go z uszanowaniem powitał i udał się wreszcie wzdłuż Odry dróżką ku Oborze. Inaczej to wówczas tam wyglądało. Wielka dzisiaj wieś

Płonia była wówczas małą osadą, założoną na karczowisku świeżo wyciętego lasu dębowego, który sięgał niemal aż pod Oborę. Mnóstwo tam jeszcze było krzaków gęstych i zarośli, które pokrywały cały brzeg Odry. Paszek szedł sobie spokojnie drogą wśród tych zarośli wiodącą, przystawał na chwilkę, rozglądał się wkoło po pięknym widoku, jaki się tu oczom jego przedstawiał, poczem znów dalej postępował, wspierając się na ozdobnym kiju. Czasami uśmiechał się z zadowoleniem jak człowiek, któremu żadne troski głowy nie suszą. Może ujrzawszy zdala Oborę przypomniał sobie noc tamże przepędzoną, która w życiu jego tak ważną sprawiła zmianę.

Nagle zaszeleściło coś w zaroślach przydrożnych i gdy Paszek w stronę tę spojrzał, ujrzał wydobywającego się z krzaków niewielkiego człowieka, w podartej odzieży. Twarz jego była niezwykle brzydka i mocno zarosła, a na niej błyszczały oczki małe, kocie, przebiegłe. Przez plecy miał nieznajomy przewieszoną torbę żebraczą a w ręku dzierzył kij sękaty, podobny raczej do maczugi, niż do zwykłego kosztura. Wyszedłszy z zarośli, stanął nade drogą i uśmiechając się przychylnie, wyciągnął rękę, jakby po jałmużnę. Paszek zamierzał w pierwszej chwili cofnąć się i nie iść dalej, bo niezna-

jomy wydawał mu się podejrzanym. Ale przyjrzawszy mu się bliżej i widząc nizką i słabą postać żebraka, postąpił śmiało naprzód i wyciągnął z kieszeni kilka miedziaków, by je nieznajomemu ofiarować. Mniemany żebrak przyjął z pokłonem ofiarę, i uśmiechnąwszy się przebiegle, odezwał się przyciszonym głosem:

— Moglibyście też, Panie! mnie biedaka hojniejszą obdarzyć jałmużną!

— Mój kochany! — odrzekł Paszek idąc dalej — bądź rad, że wogóle coś odemnie dostałeś, bo z zasady włóczęgom nic nie daję....

— A jednak, gdybym Wam coś wyjawił, dalibyście mi stokroć więcej, niż te kilka miedziaków — zawołał żebrak idąc za Paszkiem.

— Głupiś, mój kochany! — odpowiedział Paszek, zwracając się z groźną miną do żebraka — radzę ci, odczep się odemnie, bo jeźli mnie będziesz nudził, to z kijem moim możesz się zapoznać!

— Ho! ho! — odezwał się na to żebrak, bynajmniej nie zastraszony, śmiejąc się zjadliwie — jacyście to pyszni, panoczku i nie wiecie wcale, iż jedno moje słowo może Was całego majątku waszego pozbawić. Wiem ja coś, wiem!

Paszek drgnął na te słowa mimowoli, lecz opanował się wkrótce i z groźniejszą jeszcze miną przystąpił do żebraka.

— No i cóż ty wiesz, nędzarzu? — zapytał.

Żebrak cofnął się o krok w tył, jakby obawiał się silnej dłoni Paszka i spoglądając w twarz jego przenikliwie kociemi oczami swemi, zawołał:

— Wiem ja coś, co dla was zgubnem być może, bo wiem, zkąd całe mienie wasze pochodzi. Ot ztamtąd!... Mówiąc to, wskazał ręką ku Oborze.

Paszek zachwiał się, jakby nagle weń piorun uderzył.

Żebrak tymczasem mówił dalej:

— Widziałem ja Was, panoczku i waszego wspólnika widziałem, gdyście skarb ów w lesie kopali. Była to noc burzliwa, nieprawdaż? Łaziliście z latarką po lesie, niby dwa duchy, a ja stałem w zaroślach i przyglądałem się wam ciekawie. Zbudziliście mnie bowiem ze snu. Widziałem coście wykopali, śledziłem was, gdy cały skarb na wóz pakowaliście i szedłem za Wami, aż pod Cieszyn. Tam się niestety zatrzymać musiałem, bo z władzami cieszyńskiemi nie żyję w zgodzie. Ale tak długo was podpatrywałem i śledziłem, aż wreszcie udało mi

się tu oto Was spotkać i parę słów z Wami na uboczu pomówić.

Paszek słuchał słów tych nawpół nieprzytomny. Cios, jaki mu zadał żebrak tem niespodziewanem wyjawieniem był tak silny, że pozbawił Paszka wszystkiej krwi zimnej i całego spokoju. Był on dotąd pewnym, iż o skarbie owym oprócz niego i Czajki nie wie nikt w świecie. Teraz dowiedział się oto, iż wie o tem ktoś trzeci i to człowiek wielce niebezpieczny, bo zdolny do wszystkiego. Cóż miał teraz począć? W głowie mu zaszumiało, rady sobie nie wiedział. Zaprzeczyć już temu nie mógł, boć pomieszanie jego było najlepszym dla żebraka dowodem, iż się nie mylił. Zapanowawszy więc nieco nad sobą, postanowił na razie żebraka wybadać, by dowiedzieć się o wszystkiem. Rzekł więc z udanym spokojem:

— I cóż z tego, że znacie tajemnicę naszą. Mnie to bynajmniej nie szkodzi!

— Ale może wam szkodzić! Panoczku — zawołał żebrak — wiem przecież kto skarb ów uskładał. Pochodzi on z rabunków i z kradzieży, przeto wy do niego najmniejszego prawa nie macie. Należy się oddać go władzy, by rozdzieliła go pomiędzy tych, których łotrzyk ów oskubał, a jeźli się ci nie znajdą, to trzeba skarb ów rozdać między ubogich. Gdybym więc dzisiaj je-

szcze poszedł do burmistrza raciborskiego lub do starosty książęcego i wyjawił im tę tajemnicę waszą, to zabranoby wam wszystko i stawionyby was przed sądy za nieprawne przetrzymywanie znalezionych pieniędzy. Ot i skończyłoby się państwo wasze od razu!

Paszek mieszał się coraz bardziej, bo czuł, że żebrak ma słuszność. Na wpomnienie sądów strach go przejął wielki, pot wystąpił mu na czoło, lecz pomimo to odpowiedział obojętnie:

— A czy sądzisz, iż burmistrz lub starosta, którzy są moimi dobrymi przyjaciołmi, ci uwierzą? Dajże więc lepiej pokój temu, boć jedynie na karę się narazisz!

— O uwierzą, panoczku! uwierzą! O to bynajmniej się nie obawiam, bo wiem że gdzie chodzi o pieniądze, to względy przyjacielskie ustają.

— Dla czego więc, jeźliś tego pewnym, rychlej twej pogróżki nie wykonałeś — pytał dalej Paszek.

— Bo chciałem z Wami wpierw rozsądnie pomówić i ułożyć się, byśmy wszyscy coś z tego mieli. Jam nie taki. I ja nie zawsze z czystego czerpałem źródła, przeto przedemną wstydzić się nie potrzebujecie! — mówiąc to, zaśmiał się żebrak złośliwie.

Paszkowi wszystka krew do głowy uderzyła. A więc do tego stopnia już upadł, iż go żebrak, który zapewne równocześnie jest złodziejem, za wspólnika swego uważa. Na myśl tę taka go opanowała wściekłość, że wzniósł mimowoli kij w górę, jak gdyby chciał żebraka nim uderzyć. Ten atoli widząc to, szybko w bok odskoczył i śmiejąc się, zajadliwie zawołał:

— Powoli! panoczku, powoli! Pocóż to zaraz tak się gniewać. Czyż nie lepiej rozsądnie pogadać? Jeżeli nie chcecie się ze mną dzielić, to dobrze, to ja zrobię swoje i wy zrobicie swoje, a potem obaczymy, kto lepiej na tem wyjdzie. Wy panoczku macie przecież więcej do stracenia niż ja!

Słowa te oddziałały znów na Paszka jak zimna woda. Myśl o utracie skarbów i znaczenia ubezwładniła go na razie. Spuścił kij i zapytał cichym i drzącym ze wzruszenia głosem:

— A więc czego żądasz?

— Dajcie mi oto, panoczku, tyle z owego skarbu, bym mógł odtąd uczciwsze życie prowadzić. Od iluż to lat bo już wałęsam się po świecie w nędzy i biedzie, bez dachu i spoczynku, o głodzie i chłodzie, ścigany i prześladowany przez ludzi, jak wilk jaki. Polują na mnie nie raz jak na zwierza jakiego, za co? Oto za to, iż tu i owdzie coś

nieprawnie zabiorę, lecz przecież i ja żyć muszę. Jeżeli mi więc dacie to, czego żądam, to nietylko Wam szkodzić nie będę, lecz wyniosę się daleko w świat i tam nowe rozpocznę życie, a tajemnicę naszą zabiorę ze sobą do grobu!

Słowa te uspokoiły nieco Paszka, chociaż im nie bardzo wierzył. Wiedział bowiem, iż wspólnictwo łotrzyka takiego jest i pozostanie zawsze niebezpiecznem. Ale cóż miał na razie uczynić? Postanowił przynajmniej zyskać coś na czasie, by naradzić się z Czajką, więc odrzekł łagodnie:

— Dobrze więc, nie jestem od tego, by wam za milczenie wasze zapłacić. Ale tak zaraz tego uczynić nie mogę, bo nie mam pieniędzy przy sobie. Zresztą i z wspólnikiem moim chcę się naradzić. Ileż to żądacie?

— Dajcie mi chociaż z tysiąc złotych, to więcej żądać nie będę!

— Dostaniesz je. Przyjdź więc jutro o tej samej porze na to miejsce, a przyniosę ci żądaną kwotę.

Żebrak popatrzył znów w oczy Paszka przenikliwie, jak gdyby chciał z nich wyczytać, czy słowa Paszka są szczere. Po chwili zawołał:

— Ale nie starajcie się, panoczku, wymyślić na mnie zdrady jakiej; na nic by się

nie zdoła, bom ja chytry jak lis. Chociaż byście mnie uwięzić kazali, to nic wam by to nie pomogło, bo wówczas właśnie wyjawię tajemnicę. Będę więc jutro czekał tu na was, o tej porze, lecz przyjdźcie sami, inaczej nie wyjdę z ukrycia.

— Nie obawiaj się — odrzekł Paszek — ufaj mi, a źle na tem nie wyjdziesz. Jutro zatem, pamiętaj! — Mówiąc to, skinął Paszek głową i zwrócił się ku miastu, podczas gdy żebrak zniknął w zaroślach.

VI.

Teraz dopiero poznał Paszek, w jaką to przepaść popadł wskutek nieprawnego zatrzymania skarbu owego. Czem był dawniej? Oto ubogim lecz uczciwym kowalem, miał czyste sumienie i nikogo obawiać się nie potrzebował. Nie miał wprawdzie tej wygody co dzisiaj, tego znaczenia, lecz cóż to wszystko znaczyło wobec pewności siebie, jaką wówczas posiadał. Dzisiaj zaś co? Oto ma majątek, znaczenie, powagę, lecz cóż to wszystko znaczy wobec zgryzotów sumienia i wiecznej obawy, w jakiej nadal żyć będzie. Jedno słówko żebraka czy tam łotrzyka, na którego dawniej nie byłby spojrzał, może go dzisiaj pozbawić całego mienia i znaczenia,

może go oddać w ręce sędziów srogich, zniszczyć całe szczęście jego i w najokropniejszą wprowadzić go nędzę. Paszek wspomniał na Hankę, drogą żonę swoją i na dziecko, które mu dała nie tak dawno temu. I te dwie osoby zmarnieją w biedzie i w nędzy, jeźli tajemnica się wyda. Żal srogi ścisnął serce jego. Począł w duchu złorzeczyć staremu Czajce, iż go do złego namówił, potem samemu sobie, że dał się do złego nakłonić. Cóż teraz miał począć? Przecież aż nadto był przekonany, iż te tysiąc złotych spokoju mu nie zapewnią ani milczenia nie okupią. Znał za nadto dobrze tego rodzaju łotrzyków i wiedział, iż straciwszy pierwszą kwotę o coraz to nowe dopominać się będzie. Wiecznie więc ma żyć w trwodze i w niepokoju. Nie! tego już za wiele. Snać przekleństwo ciąży nad tym skarbem. I znów w duszy Paszka pojawił się zamiar szlachetny. Jeszcze czas, pomyślał, wyrzeknę się sam całego mienia, oddam je sam na dobre cele, powrócę do pierwotnego ubóstwa, lecz żyć będę w spokoju. I myśl ta dziwną w duszy jego wywołała błogość.

Wchodził właśnie do miasta. Już chciał kroki swe skierować ku ratuszowi, by tam złożyć wyznanie, lecz ciężko mu się znów na sercu zrobiło. Oto ludzie mu się kłaniali i najpierwsi obywatele, których spotykał po

drodze, mile go pozdrawiali. Cóż atoli będzie, gdy się dowiedzą o wszystkiem, pomyślał sobie Paszek, i zadrżał w duszy. Oto odwrócą się ze wzgardą, palcem na niego pokazywać będą i będą śmiać się z niego. Rumieniec wstydu oblał mu nagle twarz całą. Szatan w tej chwili inny mu podsunął obraz. Oto ujrzał Hankę i syna swego w nędznej izdebce na poddaszu, ujrzał głód i biedę na ich twarzach. Nie, on tego nie uczyni, on sam nie popsuje sobie ziemskiego szczęścia, w jakiem żyje, chociażby niepokój dobić go miał.

Minął więc szybko stary ratusz i podążył do domu. Tu zamknął się z Czajką na naradę. Obaj radzili długo, bardzo długo, a snać narada ta musiała być dla Paszka wielce nieprzyjemną i przykrą, bo jak szalony biegał nieraz po izbie, płakał jak dziecko, złorzeczył, lecz wreszcie się uspokoił i blady jak śmierć poszedł do żony. Hanka z trwogą spojrzała na męża i starała się dowiedzieć, co go tak wzruszyło, lecz Paszek zbył ją kilku słowami. Całą noc atoli przeleżał bezsennie, przewracając się na swem łożu, pocił się jak w febrze, a nieraz wyrywały mu się słowa niedorzeczne z ust, które Hankę coraz większą napełniały trwogą. Wreszcie dzień zawitał, a wraz z nim odzyskał Paszek pozornie przynajmniej da-

wniejszy swój spokój. Gdy zaś w godzinach popołudniowych Paszek wybrał się na oznaczone miejsce nad Odrą, niósł pod płaszczem worek dukatów, a w rękawie prawej ręki miał długi nóż ukryty.

Przybywszy na miejsce, nie długo potrzebował czekać. Żebrak zjawił się wczas, snać już oczekiwał i śledził Paszka w zaroślach. Paszek wyjął worek z pieniędzmi i chciał go wręczyć żebrakowi, lecz tenże cofnął się i przenikliwie spojrzał mu w oczy, jakby obawiał się zdrady jakiej. Paszek rozwiązał więc worek i wyjąwszy garść dukatów, pokazał je żebrakowi. Błysk złota pokonał snać obawę nędzarza, bo zbliżył się nagle i rękę chciwie po złoto wyciągnął. W tejże atoli chwili wypadł worek z ręki Paszka, dukaty rozsypały się po ziemi a silna dłoń byłego kowala uchwyciła żebraka z wściekłą mocą za gardło. Zanim uchwycony krzyknąć zdołał, już nóż Paszka, pchnięty silnem ramieniem utkwił mu w sercu. Żebrak jęknął tylko, rozwarł oczy szeroko, ręce naprężył i runął jak długi na ziemię. Paszek spojrzał na trupa i przekonał się, że cios był śmiertelnym, lecz zdjęty dziwnym jakimś strachem, uchwycił za worek z dukatami, zapomniał nawet wyciągnąć nóż swój z rany, i wydobywszy się z zarośli szybkim krokiem ku miastu biedz począł. — „Już

nie zdradzi — nie! — mówił półgłosem! — Mam spokój — lecz jestem..... mordercą! O Panie! wybacz, to nie dla siebie.... to dla nich uczyniłem! I pomyślał o swej rodzinie. Bocznemi uliczkami dobiegł wreszcie do domu; tu atoli uczuł się tak słabym, iż położyć się musiał.

I Paszek ciężko zachorował.

Choroba trwała długo. W pierwszych zaraz dniach zdawało się, że jej nie pokona i pożegna się z tym światem. Gorączkował, majaczył i cierpiał snać męki straszne, bo schudł i zmizerniał do niepoznania.

Wierna Hanka czuwała dniem i nocą nad łożem jego, z sercem pełnem boleści i obawy. Czajka uspokajał ją jak mógł, sprowadzał doktorów z miast różnych i leki drogie, lecz sam o życie Paszka się obawiał. Po tygodniu jednakże przesiliła się choroba, silna natura Paszka zwyciężyła i chory zwolna począł powracać do zdrowia. Hanka nie posiadała się z radości. Rada by się też była dowiedzieć, co ciężką chorobę tę i smutek spowodowało, lecz Paszek nie zdradził się przed nią. Jak dawniej, tak i teraz zbywał ją milczeniem lub obojętnemi słowami, a wierna małżonka widząc, że to mężowi przykrość sprawia, nie trudziła go zbytniemi badaniami.

Dawnego atoli zdrowia, dawnych sił swych i swobody umysłu Paszek nigdy już nie odzyskał. Często jeszcze zapadał mniej lub więcej na zdrowiu i bywały dnie, w których stronił od ludzi i zamykał się trawiony zgryzotami sumienia w swej komnacie. I Czajka posiwiał i zestarzał się znacznie w tym czasie, lecz pozornie trzymał się jeszcze krzepko, jak mógł tak pocieszał zięcia swego i dozorując pilnie warsztatami, coraz więcej bogactwa mu przysparzał. Pod tym względem szczęściło im się niesłychanie. Mienie ich wzrastało z każdym dniem, a porówno z niem wzrastało, jak zwykle bywa, i znaczenie ich w mieście. Wkrótce po przebyciu choroby owej obrano Paszka radnym miasta. Zasiadał więc pomiędzy starszyzną miejską, która rady jego z chęcią słuchała. Stał on się z czasem najbogatszym w mieście obywatelem i nawet do zamku książęcego miał przystęp, ponieważ niejednokrotnie księciu w potrzebie pieniędzy pożyczał. To powodzenie wyzyskiwał zaś zręcznie Czajka i baczył pilnie na to, by w steranej duszy Paszka szlachetniejsze uczucia nie wzięły góry.

O ile atoli w sprawach majątkowych wiodło się Paszkowi doskonale, o tyle w życiu rodzinnem szczęścia nie zaznał. Żadne z dzieci jego nie przeżyło roku i marło na

dziwne jakieś choroby, pozostawiając w sercach rodziców coraz to większy żal i pustkę. Chcąc gniew Boży przebłagać dawał Paszek hojne jałmużny, wspierał nieszczęśliwych, lecz wszystko to na nic się nie zdało, bo drobne te dobrodziejstwa nie zrównoważyły winy jego, zwłaszcza, że rozdzielał je często także dla tego, by hojność i miłosierdzie jego podziwiano. Dziwne koleje losów zamieniły poczciwego lecz miękkiego z natury Paszka w człowieka, w którego sercu złe i dobre skłonności bezustannie o lepsze walczyły i wzajemnie się równoważyły.

VII.

Minęło tak lat dziesięć od owych w zeszłym rozdziale opisanych wypadków. Wpływ Paszka wzrastał z każdym rokiem, bo za radą Czajki usilnie się też o to starał. Na sprawy i potrzeby miejskie nie szczędził grosza, zbudował ratusz nowy za własne pieniądze i kilka innych budynków miejskich. I dla siebie zaś zbudował piękną kamienicę. Mówiono już nawet w mieście że skoro tylko skończy się czas urzędowania burmistrza, Paszek niezawodnie na stanowisko to wybrany zostanie.

Ale Paszek nie dożył już nowego zaszczytu tego. Wycieńczony ciężkiemi przejściami życia swego i trawiony bezustanną walką, jaką w duszy swej staczał, oraz wyrzutami sumienia, zapadał coraz częściej na zdrowiu i szybkim krokiem zbliżał się do grobu. Śmierć jego przyspieszył jeszcze następujący wypadek. Przy wycinaniu zarośli wzdłuż brzegu Odry w pobliżu Płoni dzisiejszej znalazł pewien robotnik szkielet zamordowanego przez Paszka przed kilkunastu laty żebraka czy łotrzyka. Wśród kości szkieletu sterczał jeszcze zardzewiały wprawdzie nóż Paszka, tak, jak go tenże był zostawił. Robotnik nóż wyjął i spostrzegłszy na nim z wielkiem zdziwieniem wyryte nazwisko Paszka, zaniósł mu nóż ów do mieszkania.

Paszek ujrzawszy nieszczęsną tę zgubę swoją, przeląkł się strasznie; zdawało mu się bowiem, iż teraz wszystko się wyda i sposób nagłego zbogacenia się jego i zabicie owego żebraka. Czajka, obecny temu, zbył wprawdzie robotnika zręcznym jakimś wykrętem, dał mu sowite znaleźne, lecz Paszek niczem już uspokoić się nie dał. Nóż, który mu tak niespodzianie wręczono, przypomniał mu na nowo ową najstraszniejszą chwilę w życiu i wzbudził uśpione na chwilę wyrzuty sumienia. Rozchorował się znów

ciężko, powtórzyły się gorączki i majaczenia, z których Paszek się nie ocknął. Nie odzyskawszy przytomności Paszek Bogu ducha oddał.

Widzimy więc jak marnie kończą ci, którzy całe swe szczęście ziemskie na skarbach zwodniczych opierają i dla nich nie wahają się pełnić czynów grzesznych i karygodnych. Cóż miał bowiem Paszek z skarbu swego? Zgryzoty wewnętrzne, niepokój wieczny, żałość, które bynajmniej wygodnem życiem, zaszczytami i znaczeniem zrównoważone nie zostały. Trawiony wewnętrznym niepokojem bynajmniej Paszek życia nie użył, i w kwiecie lat swoich świat ten porzucił, by za grzechy swoje na tamtym świecie cięższą jeszcze otrzymać karę.

VIII.

Śmierć Paszka wywołała w mieście wielkie wrażenie. Nikt nie domyślał się powodów, które zgon jego przyspieszyły, więc żałowano go ogólnie i sprawiono mu pogrzeb bardzo uroczysty. Hanka opłakiwała męża długo i pomimo pocieszeń starego Czajki była w żalu swym nieutulona. I Czajka martwił się śmiercią zięcia nie mało. Cała przeszłość odświeżyła mu się w pamięci,

a rozważając, że i on nie jest wieczny, że i jemu przyjdzie może niezadługo zdać sprawę przed sprawiedliwym Sędzią, strach przejmował go na wspomnienie, jak ciężka kara spotkać go może w przyszłem życiu. Takiemi myślami ustawicznie trapiony i smutnemi przeczuciami dręczony począł Czajka zwracać się coraz więcej ku Bogu, ślubując naprawę i pokutę. Modlitwa i dobra wola poprawy życia sprawiły, że skruszony w sercu postanowił bądź co bądź uwolnić sumienie od tłoczącego je ciężaru grzechu: postanowił przyznając się, zkąd wraz z Paszkiem mienie swe zaczerpnęli, magistratowi wręczyć cały majątek, aby ten zwrócił je kościołowi i ubogim.

Przejęty do głębi tem postanowieniem nabrał otuchy, aby i Hance opowiedzieć, jak zaślepiony i żądny szczęścia ziemskiego usłuchał głosu szatana i namówił Paszka, aby ten skarb, nagromadzony przez zbrodniarza, zamiast oddać na cele dobroczynne dla siebie zatrzymał; jak Paszek następnie tego człowieka, który znał całą tę tajemnicę, zamordował, za co jeszcze za życia wiele cierpiał a i teraz po śmierci ciężko niezawodnie pokutować musi. Dziś czuję — mówił skruszony Czajka do córki — że nie ma winy nad tę, gdy ktoś bogaci się i panoszy mieniem powstałem z krzywdy ludzkiej, więc

postanowiłem oddać wszystko magistratowi, a sam, aby zapewnić sobie spokój sumienia, wrócić do dawnego ubóstwa. Jeżeli tego nie uczynię, nie będę miał spokoju ani tu ani po za grobem!

Hanka, pobożna niewiasta, kiedy to usłyszała, nie miała nic pilniejszego, jak zaklinając ojca na wszystko co święte, błagać go, aby nie zwlekał z szlachetnem postanowieniem i uczynił co prędzej jak mu dobry głos radzi, pomna także na to, że Bóg miłosierny ulituje się niezawodnie prędzej nad mężem jej, gdy się tak stanie.

Rzucił się Czajka w objęcia córki, a uklęknąwszy oboje poczęli błagać Boga o miłosierdzie. Uspokojony Czajka pożegnał Hankę serdecznie, poczem udał się na ratusz, gdzie właśnie zgromadzoną była rada miejska.

Gdyby grom z pogodnego nieba był uderzył w salę, w której obradowała rada, nie byłby sprawił większego wrażenia nad to, jakie sprawiła opowieść Czajki. Radni za głowy się chwytali, bo żaden z nich nie przypuszczał, aby takiem mogło być źródło bogactw Paszka i takiem życie jego. Zapewniono Czajkę, iż włos mu z głowy nie spadnie, jeżeli uczyni co obiecuje. Słowa te tak silnie oddziałały na niego, iż rzucił się na kolana, i gorącemi słowy wyraził swą podziękę.

Przyszedłszy do siebie Czajka udał się natychmiast do Hanki, aby jej opowiedzieć o wszystkiem, poczem wręczył całe swe mienie magistratowi.

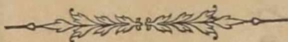
I znów zebrała się rada miejska, na której burmistrz w te odezwał się słowa:

,,Kochani Bracia! Oddano mi wszelkie mienie pozostałe po zmarłym Paszku. Trza je użyć tak, by Bogu było miłe a dusza zmarłego zyskała zbawienie. Radzę więc użyć je w ten sposób: Część oddamy księżom, by rozdali pomiędzy ubóstwo, resztę zaś użyjmy na budowę kaplicy. Przybywa do miasta naszego coraz więcej niemieckich przybyszów. Nie mają oni dotąd domu bożego, w którymby w swej mowie ojczystej mogli modlić się do Pana. Pokażmy im, iż my Polacy umiemy ocenić niedolę każdego, chociażby nieprzyjaciela naszego. Zbudujmy więc dla nich kaplicę za owe pieniądze. My mamy dosyć własnego mienia i nie potrzebujemy czerpać z owego skarbu, którego źródło bądź jak bądź jest nieczyste. Niechaj przysłuży się on biednym współmieszkańcom naszym!“

I magistrat przyjął jednogłośnie myśl burmistrza. Tuż przy farnym kościele od strony Rynku zbudowano wkrótce kaplicę dla przybyszów niemieckich, których radość wskutek tego była wielką.

Czajka zakończył życie swe w klasztorze, gdzie jako pokutnik pełnił aż do śmierci najniższe posługi. Przeżył on Hankę, która również umarła w klasztorze, o lat wiele i długo go widywano modlącego się kornie w kruchtach kościołów, bo do wnętrza świątyni wejść nie śmiał.

Takiem jest podanie o Paszku, o skarbie przezeń znalezionym i o budowie kaplicy niemieckiej, którą z czasem nazwano polską.



Powiastki wigilijne.

I.

Wilja za Oceanem.

Obrazek z życia wychodźców polskich.

Był to wieczór zimowy, wilja Bożego Narodzenia!

Śnieg padał gęsty, zimny wiatr północny szumiał i wył po ulicach ludnego miasta amerykańskiego Kansas, które pomimo wichru i mrozu mnóstwo jeszcze ludzi przebiegało. Każdy bowiem czy to bogaty, czy ubogi spieszył po dziennej pracy do domu, do oczekującej go rodziny, ażeby w jej gronie spędzić najpiękniejszy wieczór w roku.

Wśród tych tłumów wesołych, uśmiechniętych twarzy, otulonych kołnierzem ciepłego płaszcza lub futra, dziwnie odbijała postać żebraka, który kulejąc na jednę nogę wolnym krokiem postępował jedną z najpiękniejszych ulic miasta, popychany nieraz niemiłosiernie przez spieszących w różne strony Yankesów. On nie zważał na to. Zdawało się nawet, iż nie słyszy łajań ludzi, którym z powodu chorej swej nogi nie dość

wcześnie z drogi mógł się namknąć. Był to mężczyzna lat może czterdziestu, wysoki, barczysty, niegdyś widocznie zdrów i silny, lecz dziś zgarbiony, zaledwie o własnej sile zdolny postępować. Wychudłe ciało jego niedostatecznie pokrywały strzępy podartego odzienia, dające zewsząd przystęp mroźnemu wiatrowi. Jedna ręka wisiała na brudnej, podartej, naokoło szyi zawiązanej chustce, widocznie również pokaleczona jak noga w łachmany owinięta. Postępował wolno, drżąc cały od zimna i głodu, lecz cicho, bez skargi, bez jęku.

Wreszcie zatrzymał się przed jedną z najokazalszych kamienic i po krótkim namyśle nieśmiało zadzwonił. Po chwili brama się odchyliła i przez szparę ukazała się tłusta, rumiana twarz odźwiernego, otulona kołnierzem futrzanym, który ujrzawszy żebraka szorstko się zapytał, czego żąda.

— Chciałbym z panem waszym pomówić — odpowiedział żebrak łamaną angielszczyzną, po której zaraz cudzoziemca poznać było można — a wdzięcznym wam będę do śmierci, jeżeli mi do tego dopomożecie.

— Eh! czegoż się to wam znowu zachciewa! — zakrzyknął gniewnie odźwierny — czy wy myślicie, że pan nasz nic więcej nie ma do czynienia, tylko wdawać się z jakimiś tam polskimi żebrakami? Dosyć

już wyłudziliście od niego, a więc wynoście się! precz!

Mówiąc to usiłował bramę napowrót zatrzasnąć, ale żebrak całą siłą zdrowej ręki takową wstrzymał i błagalnym głosem prosić znów począł:

— Ot! zlitujcie się paniczku! wszak i wy macie żonę i dzieci, wspomnijcie na nie! Dzieci moje biedne i żona z głodu i zimna umierają, a jam kaleką, ani zapracować na nic już nie mogę. Zmiłujcie się! dozwólcie mi iść do pana waszego; on mnie przecież nie odepchnie. Toć ja w służbie jego kaleką zostałem, a chociaż mu uczciwie i wiernie pracowałem, to jak psa mnie wygnali, gdym już do pracy zdolny nie był.

— Zdrowo wam tak — odparł odźwierny — pocożeście to do nas przybyli? Aby nam biednym chleb odbierać, co? Włóczęgi jakieś, w kraju własnym wam się pracować nie chciało, więc przyleźliście tu do nas, sądząc pewnie, że tu pieniądze na ulicy leżą; a teraz, jak przez własną niezgrabność kaleką został, to już myśli, że pan nasz jego wraz z całą rodziną karmić i przyodziewać będzie; wynoście się więc, mówię wam! póki mi cierpliwości nie zabraknie!

— Och! paniczku najmilszy zlitujcie się! — wołał żebrak i uchwycił rękę odźwiernego, chcąc ją do ust przycisnąć, lecz ten

wyrwał mu ją i z taką siłą bramę zatrzasnął, że biedak o mało co na ziemię nie upadł.

Przez kilka minut stał jakby skamieniały. Wściekłość go ogarniała. Tam het za miastem w zimnej, rozwalonej chacie spoczywają chora żona jego i dzieci, nie mając ani kawałka chleba suchego na zaspokojenie głodu; on kaleka, niezdolny do pracy, przychodzi prosić o wsparcie do pana swego dawnego, bogatego fabrykanta, w którego służbie nieszczęśliwym wypadkiem kaleką został, a tu ani dopuścić do niego nie chcą. O! przeklęty ten kraj, przeklęci ludzie na nim! żeby go lepiej oko jego nigdy nie było ujrzało! Głuchy straszny jęk wydobył się z piersi nieszczęśliwego. Oczy złowrogo pałać mu poczęły, pierś mu się wzdymała, pięści zacisnął; zdawało się przez chwilę, że rzuci się na zamkniętą bramę i przemocą sobie utoruje drogę do wnętrza.

Po chwili jednak opuścił rękę wzniesioną, odwrócił się zwolna i począł wracać w stronę, z której niedawno nadszedł.

Na ulicy wciąż jeszcze gwarno było. Przez okna oświetlone rzęsisto widać było jarzące się świeczki choinek wesoły śmiech i wrzawa dziatwy szczęśliwej aż do uszu jego dobiegały. Lecz on nie zważał na to, o ile mu chora noga na to pozwalała, szybko

postępował naprzód. Nieraz nagle zatrzymywał się, przystawał pod murem kamienicy jakiej, i drżącą rękę do przechodniów wyciągał, niezrozumiałym głosem słowa prośby mrucząc pod nosem, bo trudno, boleśnie widocznie było nędzarzowi, wyciągać rękę do obcych po jałmużnę. Ale zamiast wsparciem — śmiechem lub szyderstwem go obdarzano. Zanadto pilnie było przechodniom, ażeby módz poświęcić chwilkę nieznajomemu żebrakowi.

Mijał tak jednę ulicę po drugiej, aż wreszcie znalazł się wśród cichszych już uliczek przedmieścia. Ale i tutaj z okien chat i lepianek ubogich tylko wesołe dobiegały go głosy: Zdawało mu się, że wśród tej ogólnej radości i wesela, on sam jeden nieszczęśliwy, smutny, opuszczony!

Stanął wreszcie na krańcu miasta; zdala po za sobą słyszał wciąż jeszcze wesoły gwar i wrzawę, a przed nim ciemna rozpościerała się przestrzeń. Śnieg padał wciąż jeszcze, wiatr szumiał i wył i pędził przed sobą białe płatki śniegu, jakby listki z drzewa w jesieni opadłe, a biedakowi zdawało się, że i on jest takim płatkiem białym, takim listkiem obumarłym, oderwanym od pnia rodzinnego i gnanym wichrem nieszczęścia na własną zagładę.

Mróz był srogi, lecz on zdawał się nie uczuwać go. Tuż obok niego stała chata na wpół rozwalona, grubą warstwą śniegu pokryta. Przez szczeliny ścian słabe światełko widniało, widocznie chata ta zamieszkałą jeszcze była.

Nagle z wnętrza rozpadłego domostwa ozwał się głośny płacz dziecka i głos kobiecy, starający się je uspokoić. Na głos ten znajomy żebrak zadrżał, chciał postąpić ku chacie, lecz wstrzymał się. Nie miał widocznie odwagi wnijść do środka i spojrzeć na tę nędzę okropną swej rodziny, której zapobiedz nie był już w stanie. Bo cóż odpowie żonie chorej, dzieciom chleba wołającym?

Nogi drzały pod nim, usiadł więc na zaspie śniegu pod chatą, ręką zdrową zakrył twarz wynędzniałą, po której dwie wielkie łzy się potoczyły i z piersi jego głuche, gorączkowe ozwało się łkanie.

Siedział tak długo. W chacie cisza znów zapanowała, a w duszy jego zbolałej powstały wspomnienia wesołej, szczęśliwej przeszłości. Myślą cofnął się o lat kilka wstecz i znalazł się w chacie ojca swego, zamożnego gospodarza w Wielkopolsce. Wśród kochającej go rodziny jak swobodnie, bez troski czas mu wówczas schodził! Ujrzał się wreszcie już samodzielnym właścicielem ojco-

wizny, do której niedawno co ukochaną swą Maryśkę jako towarzyszkę życia był wprowadził. I dobrze mu się wówczas powodziło, lecz on lepiej mieć zapragnął.

Nieszczęście chciało, że zawitał wówczas do niego jakiś gość niepożądany, który mu niestworzone rzeczy o bogactwach Ameryki nagadał. Jak tyle tysięcy biednych włościan polskich, tak i on uwierzył mu. Nie zważał na rady dziedzica i księdza i tylu poczciwych ludzi, którzy mu tej wędrówki za morze odradzali, bo myślał, że to przez zazdrość czynią; sprzedał ojcowiznę Niemcowi, porzucił wioskę, w której kości ojców i dziadów jego spoczywały i wraz z żoną i dziećmi drobnemi udał się za morze po mniemane bogactwa.

Oj! zawiódł się strasznie! Ciężko mu było od samego początku w tym kraju obcym dla niego zupełnie, wśród tych ludzi zimnych, obrachowanych, walczących ciężką, wyczerpującą siły pracą na kawałek chleba codziennego. Stracił wszystko co jeszcze mu pozostało po podróży, a zarobek trudnym był bardzo. Tłukł się tak z miasta do miasta za pracą i chlebem wśród głodu i chłodu. Poznał wówczas dopiero, jak się strasznie zawiódł, lecz już było zapóźno, bo powrócić do kraju już nie było za co.

Żona chorowała, dzieci w oczach prawie marniały. Tęsknica za krajem coraz więcej dawała mu się we znaki, zwątpienie serce ogarniało. A nie było się przed kim użalić, przed kim wypłakać, bo w wędrówce tej za chlebem, oddalił się był daleko bardzo od reszty wychodźców, którzy z resztą tę samą niemal nędzę co i on cierpieli.

Nie dosyć było jeszcze niedoli. Nieszczęście chciało, iż pracując w fabryce, przez nieostrożność albo też zbytnią gorliwość pokaleczył sobie tak strasznie rękę i nogę, że już o pracy nawet i pomyśleć nie mógł, a tu na dobitkę i żona ze zmartwienia i biedy znów ciężko zachorowała. Straszna wówczas nędza w chacie zapanowała. Wśród srogiej zimy ani kawałka drzewa na opał nie stało, ani chleba spleśniałego dosyć na zaspokojenie głodu rodziny.

Gdyby to nieszczęście spotkało go było w domu, w rodzinnej swej wiosce wśród znajomych, pokrewnych mu ludzi, serc poczciwych, czułych na bratnią niedolę, toć o pomoc nie trudno by mu było, lecz tutaj na obczyźnie, znikąd nawet szczerej rady spodziewać się nie mógł.

Pan go wypędził, bo już do pracy zdatnym nie był, współrobotnicy krzywo już od samego początku na niego patrzeli, jak w ogóle na wszystkich obcych, na których

markotni są, że im chleb odbierać przychodzą. Więc nietylko nie dopomogli mu, lecz cieszyli się nawet z nieszczęścia człowieka, który mową, wiarą i obyczajami dla nich obcym był zupełnie.

O! smutnaż, smutna była dola jego.

Wioska rodzinna stanęła mu przed oczyma. Widział jakby we śnie znajome sobie twarze, siedzące teraz w ciepłej izbie na około stołu przy wspólnej wieczerzy, dzieląc się opłatkiem. Spokój i zadowolenie na każdego twarzy, w izbie dostatnio i czysto, a u niego co? Głód, nędza, choroba, rozpacz, nic więcej.

Znowu łzy gorzkie rzuciły mu się z oczu, łzy ostatnie nad szczęściem straconem mimowolnie, nad straconą młodością, nad nieszczęśliwą przyszłością żony i dzieci kochanych.

Zwolna głowa mu zwisła, myśl tępiała, członki od mrozu sztywniały. W głowie poczęło mu majaczyć dziwnie; ujrzał dawne, znajome postacie, to znów słyszał płacz żony, krzyki dzieci zgłodniałych. Chciał się podnieść z ziemi, lecz siły mu nie dopisały. Powoli widziadła same znikały, w oczach mu zciemniało. Drgnął jeszcze razy kilka, szepcąc niezrozumiałe wyrazy; wreszcie głowa mu zwisła na piersi i — skonał.

Wiatr szumiał i huczał wciąż przeraźliwiej, jakby pragnął biedaka dziką swą pie-

śnią do snu wiecznego ukołysać. Śnieg gęsty padać nie przestawał, tylko go zwolna bieluchną przykrywał pościelą. Z chaty coraz głośniejszy płacz dzieci dochodził, lecz ojciec ich już tego nie słyszał.

Na obcej ziemi, zasypany śniegiem, z głodu i zimna legł u drzwi nędznej swej chaty biedny wychodźca polski, który niedawno temu z pełną nadziei piersią popłynął za morze szukać szczęścia w Ameryce!

A w chacie tymczasem biedna, wynędzniała kobieta tuliła do piersi dwoje drobnych dziatek zgłodniałych. Ostatkiem szmat i słomy zbutwiałej chroniła je od zimna i szeptała głosem złamanym:

— Cicho! dzieci cicho! tata wnet wróci i chleba wam na gwiazdkę przyniesie!



II.

KŁUSOWNIK.

Powieść na tle prawdziwego zdarzenia.

Szymonowa już po raz trzeci co najmniej dzisiaj wyszła przed chatę i bacznie spoglądała w stronę lasu. Zniecierpliwienie widniało na jej twarzy. Przed nią bieliło się puste, śniegiem pokryte pole, sięgające aż pod obszerny, zaledwie o kilka staji odległy las sosnowy.

— Już tak późno, a jeszcze go nie ma — mówiła półgłosem do siebie wracając napowrót do izby — u Gryków już wieczerzę zajadają, a mego jak niewidać tak niewidać z lasu.

W izbie na kominku suty palił się ogień i oświetlał obszerną, czystą izbę, wśród której stał stół pokryty białym, z grubego swojskiego płótna obrusem. Na około siedziało czworo drobnych jeszcze dzieci.

— Józek! — zawołała Szymonowa do swego najstarszego syna, dwunastoletniego wyrostka — siedzisz tu i gapisz się na puste miski. A wiesz dobrze, że prędzej wam

nie dam wieczerzy, dopóki ojciec nie wróci. Ot! wziąłbyś lepiej czapkę i pobiegł ścieżką do lasu, a obejrzał się dokoła, czy gdzie ojca nie widać!

— Kiej tak zimno, matulu! — odezwał się chłopak, a niezadowolona mina jego zdradzała, że niechętnieby się chciał z ciepłej wyruszyć izby.

— A widzicie go — zawołała matka — jaki z niego gagatek. Ojciec twój to może się całemi dniami po śniegu i zimnie tłuc, a wam darmozjadom, to ani nosa z ciepłej izby wychylić się nie chce. Zaraz mi pójdziesz!

Chłopak leniwie podniósł się ze stołka i począł szukać czapki.

— A jeno uważaj — dodała po chwili żeby cię kto nie spotkał. Gdyby zaś pytał się kto, co robisz sam jeden o tej porze pod lasem, to powiedz, że nam prosię z podwórka uciekło i szukać chodzisz. Rozumiesz?

Józek mruknął tylko coś niewyraźnego pod nosem, a wychodząc spojrzał markotnym wzrokiem na swe rodzeństwo, i w duszy żałował, że to on właśnie był najstarszym synem i jako taki ojca szukać iść musiał.

Szymonowa tymczasem poczęła się krzątać około wieczerzy. Toć to dzisiaj wigilia Bożego Narodzenia, to i jadło, chociaż po-

stne, było sute. Wyjęła więc nasamprzód z szafki oszklonej starannie w papier owiniętą paczkę opłatków i na środek stołu położyła. Potem zajrzała do syczących przy ogniu garnków.

— A no! wszystko gotowe, a pewnie i smaczne będzie — mówiła zamyślona stojąc przy kominku. — Co też Szymon tak długo robi w boru. Żeby mu się tylko co złego nie stało. Zawsze mu odradzałam, żeby dla tych kilku marnych zajęcy lub jakiej lichej sarny tak się nie narażał. Dzięki Bogu jeść mamy co; ale u niego to wszystko nic, jakby kto groch o ścianę rzucał. Wie dobrze i nawet nieraz sam mi o tem mówił, co za wielka może go spotkać kara, gdyby go kto miał schwycić, a jednak chodzi i chodzi. Dawniej to było co innego, stary Jacenty nasz kumotr i dobry przyjaciel, to kiedy spostrzegł mego, idącego z strzelbą do lasu, to z umysłu w inną stronę pobiegl, żeby się czasem z nim nie spotkać. Ale ten nowy gajowy, to Bóg wie, jakim jest człowiekiem. Mówią, że to jakiś przybłęda ze świata, że z nikim nie żyje i na czarach się zna. Doprawdy, że się obawiam!

Dzieci tymczasem znudzone długiem czekaniem poczęły cichaczem odłamywać po kawałku opłatka i gdyby Szymonowa w sam

czas nie była spostrzegła tego, cała paczka wnet stałaby była się pastwą dziecięcych żołądków.

— A dacie wy spokój! nicponie! — zawołała z gniewem i uderzyła najbliżej jej siedzące po wyciągniętej rączce. Przestraszone dzieciaki odbiegły od stołu i w kąt przed gniewem matki się pochowały.

Szymonowa wybiegła znów przed chatę lecz po chwili jeszcze więcej zniecierpliwiona do izby wróciła!

— A czy też skaranie Boskie, czy co? Niepokój ogarniał ją coraz większy. Podeszła do ognia, lecz po chwili znowu do okna pobiegła. Na dworze ciemno już było zupełnie.

Wreszcie wrócił i Józek.

— Ojca ani widać, Matulu! — zawołał już od progu — ale słyszałem strzelanie.

— Daleko?

— Niewiem, Matulu! ale coś mi się zdawało, że w stronie zamczyska, dwa razy jeden po drugim!

— Dwa razy! i to pod zamczyskiem! Toć tam właśnie mieszka nowy gajowy. Matko najświętsza zmiłuj się nad nami!

Tu Szymonowa przyklękła przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej i gorąco się modlić zaczęła. Kilka razy zdawało jej się, że słyszy kroki przyciszone, ale było to tylko

złudzenie. Dzieci cicho po kątach szeptały, a jej serce biło jak młotem. Nie spostrzegła nawet, że na kominku ogień powoli gasnąć poczynał.

Domyślny Józek widząc, że matka na to nie uważa, sam kilka kawałków drzewa dorzucił. Dłużyło mu się i tak już, a głodny był i niecierpliwie wieczerzy wyglądał. A tu ojciec, jak na złość nie wracał z lasu.

*
* *

Mąż Szymonowej był średnio zamożnym gospodarzem; nie posiadał zbyt wiele gruntu i dobytku, lecz za to był trzeźwym i pracowitym, a przytem dobrym mężem i ojcem, to też powodziło mu się nieźle. Jedyną jego wadą była namiętna żyłka myśliwska, a że nie miał własnego polowania, nawiedzał więc ukradkiem sąsiednie lasy hrabiowskie i często z bardzo obfitą wracał zdobyczą.

Żona nieraz mu wymawiała tę grzeszną, jak się wyrażała, a przytem niebezpieczną wadę; ale on twierdził, że zwierzyna to nie własność żadna, bo ją Pan Bóg zarówno dla wszystkich ludzi stworzył, a więc to nie kradzież. Przytem uspokajał ją swą zręcznością w unikaniu pogoni, i zapewniał, że jeszcze ten gajowy się nie urodził, któryby go na gorącym umiał schwytać uczynku.

Sąsiedzi wprawdzie często szeptali pomiędzy sobą o jego samowolnych polowaniach, domyśliwano się tego nawet w zarządzie lasów hrabiowskich, lecz że Szymon rzeczywiście był nadzwyczaj zręcznym a przebiegłym chłopem, i udowodnić mu było trudno, więc też otwarcie go o to napastować nikt nie śmiał.

Dotychczas nawet nie było także i rzeczywistego niebezpieczeństwa. Gajowy najbliżej Szymonowej zagrody położonego rewiru, stary Jacenty, był dalekim powinowatym Szymona. A że lubił i zjeść i wypić dobrze, a Szymon przy każdej nadarzonej sposobności nie omieszkał go ugościć i nieszczędził mu ani jadła, ni napitku, więc też Jacenty odwdzięczał mu się za to i na wszystkie sprawki Szymona patrzał przez palce.

Uzuchwaliło to Szymona tak dalece, że gdy nawet po śmierci Jacentego nastał nowy nieznany mu zupełnie gajowy, nie przestał ani na chwilę swych częstych wycieczek i ufał jedynie swej zręczności i przebiegłości.

Dzisiaj znowu pod wieczór zakradł się do lasu.

— Zanim wieczerzę przyrządzisz — mówił do żony — wrócę zapewne, a przynajmniej na parę dni mięsa znów mieć będziemy. I tak już dosyć dawno nic nie ubiłem, a obawiać się nie potrzebujesz. Dzisiaj wigilia,

dzień uroczysty, to i nasz gajowy zapewne w domu siedzieć będzie, bo komużby się w takim dniu po lesie włóczyć chciało.

Szymonowa, jak zwykle, tak i teraz mu odradzała. Szczególnie dzisiaj miała jakieś niepojęte złe przeczucie. Ale nic to nie pomogło. Szymon jeszcze śmiać się z obawy jej zaczął, zabrał strzelbę i ukrywszy takową pod sukmaną, ścieżką do lasu podążył.

* *
*

Na starym zegarze w chacie Szymona wybiła ósma godzina. Dzieci wygłodzone całodziennym postem niecierpliwie poczęły wołać jedzenia.

— Cała wieczerza popsuta — mówiła Szymonowa — i to wszystko dla tej grzesznej jego osobliwości. Tak dalej być nie może. Jutro pójdę do księdza i mszę świętą zakupię. Może mu Pan Bóg lepsze da myśli i od grzechu tego ochroni.

Czekać dłużej nie chciała, bo żal jej było dzieci. Nalała im więc zupy z owocu, dosypała klusek z makiem na miskę, i przez chwilę z zadowoleniem na chciwie zajadające potomstwo swe spoglądała.

— Dał Pan Bóg dzieci, pomyślała sobie, dał im też i co jeść i czem się przyodziać, a nie potrzeba się do grzesznego

uciekać zarobku. Bo czy tak, czy owak, zawszeć grzechem pozostanie; przecież lasy nie nasze, to i zwierzyna do nas nie należy. Niech mówi co chce, ale zaprzestać raz tego musi, chociażbyśmy się i pogniewać mieli. Żeby tylko wrócił conajprędzej, bom i sama głodna, a bez niego by mi nie smakowało.

Wyjrzała znów przed chatę, lecz i teraz nic nie dostrzegła. Minęło dobre pół godziny, niepokój ogarniał ją coraz większy.

— Co mu się też stać mogło?

Naraz usłyszała kroki przed chatą, ale głośne, przyspieszone. Czyby to Szymon być miał? Dawniej przecież wracał ukradkiem, ażeby go który z sąsiadów nie spostrzegł. Nie! to pewnie nie on.

Serce jej zabiło gwałtownie. W sieni usłyszała głośne stąpanie, i drzwi do izby z trzaskiem się rozwarły. Szymonowa aż krzyknęła z przerażenia.

Na progu stanął w tej chwili mąż jej, Szymon, ale zmieniony do niepoznania. Wrócił bez strzelby i czapki, ręce miał krwią zbroczone, odzież i włosy potargane. Drżał na całem ciele jak listek, a twarz pokryta trupią bladością zdradzała rozpacz i przestrach zarazem.

— Jezusie Nazareński! — krzyknęła Szymonowa — co się stało?

Szymon zamiast odpowiedzieć, postąpił kilka kroków naprzód i rzucając się na łóżko, zakrył twarz rękoma.

— Com ja uczynił! com ja uczynił! wołał głosem ochrypłym. Zabiłem go, zabiłem! O! ja nieszczęsny!

— Mężu! Szymonie! Na miłość Boga, mów co się stało? Kogoś zabił? powiedz mi!!

— Precz odemnie! kobieto! Nie tykaj zabójcy, bo sobie ręce krwią ludzką poplamisz. Albo lepiej, weź siekierę i zabij od razu. I tak już życie całe stracone, czy rychlej, czy później, wszystko jedno!

— Mężu! co ci jest? czyś zmysły stracił, czyś oszalał? — wołała zalewając się łzami żona, podczas gdy przestraszone dzikim wzrokiem ojca dzieci w najciemniejszy kąt izby się pochowały — co ci się stało, człowieku? Mów, powiedz mi, przecież ja żona twoja, może ci pomódz, pocieszyć cię mogę!

I pochwyciła oburącz głowę jego i gwałtem nieomal do drżącej piersi przycisnęła.

— Szymonie! — poczęła prosić łagodnie, a łzy jej jak groch po twarzy spadały — powiedz mi, co ci się stało w lesie, przedemną nic zataić nie powinieneś. Uspokój się, nie szalej tak, jeżeliś zgrzeszył to pomódl się lepiej; uspokój się.

Szymon począł ciężko oddychać. Serdeczny uścisk żony uspokajająco nań oddziaływał. Po chwili głowę podniósł. Oczy dotąd dzikie i zrozpaczone nabierały powoli wyrazu niezmiernej boleści i skruchy.

— Żono! — począł z cicha — powiem ci wszystko, wyspowiadam się jak na spowiedzi, tylko dzieci do alkierza wprowadź i zamknij. Niechaj one przynajmniej zbrodni ojca swego nie słyszą.

Łkając cicho, bo spodziewała się usłyszeć z ust męża coś strasznego, spełniła Szymonowa życzenie jego, poczem znowu obok niego na łóżku usiadła.

— Com ja uczynił, nieszczęsny! — mówił Szymon zwolna i ze skruchą widoczną na twarzy. — Bóg mnie skarał ciężko bardzo, bom mimowoli popełnił zbrodnią. Już pewnie dzień ostatni z wami jestem; jutro przyjdą po mnie, przed sąd zawiodą i za śmierć zapłacę śmiercią. A ty płakać po mnie nie będziesz, bo wstręt uczujesz do człowieka, który ręce w niewinnej krwi ludzkiej ubroczył, i przeklinać mnie będziesz za to, że całą rodzinę okryłem hańbą.

— Boże mój! — szeptała Szymonowa. — A prosiłam cię zawsze i mówiłam: nie chódź, to obraza boska, to grzech, co czynisz, ale tyś ani słuchać nie chciał i tak się to skończyć musiało.

— Brr — mówił dalej Szymon — co za widok okropny! jeszcze mi jego blada, skrwawiona twarz ciągle stoi przed oczyma... Poszedłem dzisiaj nad wieczorem do lasu. Myślę sobie, dzisiaj tam nikt pilnować nie będzie, to się głębiej zapuszczę i dogodniejszego poszukam stanowiska. Pobiegłem więc dalej aż pod samo niemal zamczysko. Nadarzył mi się kozieł spory, oczy mi się zaświeciły na jego widok. Bez namysłu strzeliłem i zabiłem od razu. Zabrałem się potem do wyprawienia. Strzelbę oparłem o drzewo, obok siebie, i już prawie miałem robotę skończoną, gdy nagle posłyszałem kroki za sobą. - Przestraszony podniosłem się szybko z ziemi, i odwróciwszy się poznałem gajowego, tego nowego. Blada twarz jego aż świeciła w zmroku wieczornym, a szedł spokojnie ku mnie, chociaż był bez broni i tylko kij miał w ręku. Strach mnie opętał. Myślę sobie: Pewnie nie poznał mnie jeszcze, wymierzę do niego, może się przelęknie i odskoczy, bo mi drogę zastawiał, a ja wówczas uciec zdołam, Chwytam więc dubeltówkę i mierzę do niego. Bóg mi świadkiem, że tylko zastraszyć go chciałem. Ale na nieszczęście, zamiast wystrzelonej lufy, odwiodłem w pospiechu kurek nabitej jeszcze. A tu jak na własną zgubę, gajowy nie cofnął się, lecz zbliżył się do

mnie na kilka kroków zaledwie. Otworzył usta, i chciał coś mówić... Nieszczęście się stało... Strzał huknął, i gajowy bez jęku powalił się na ziemię... W tej chwili księżyc wyjrzał z poza drzew, widno się zrobiło. Patrzę, a tu przedemną leży trup gajowego. Twarz miał bladą, a z czoła krew mu sączyła... Włosy mi stanęły na głowie, strach mnie ogarnął śmiertelny, potem rozpacz i żal niezmierny. Całą chwilę tak stałem, jakby do ziemi przykuty, patrząc na mą ofiarę. Wreszcie strzelba z ręki mi wypadła, a brzęk jej przestraszył mnie jeszcze bardziej. Zdawało mi się nagle, że szatan już po mnie rękę wyciąga. Począłem uciekać, nie wiedząc sam, gdzie i dokąd. Długo, długo, biegałem tak po lesie i sam nie wiem, jak się tu dostałem.

Szymon zamilkł i jeszcze patrzał przed siebie. Do czego to doszedł! Było mu dobrze na świecie, bardzo dobrze, tylko nie starał się pohamować swych namiętności, i tak zdrożne, ale lekceważone przez niego przestępstwo prawa doprowadziło go do zbrodni. Cóż teraz? Całe życie jego było stracone, bo wiedział co go czeka. Obok niego zrozpaczona żona płakała, a w nim odezwały się nagle z całą siłą wyrzuty sumienia. Blady trup gajowego stał mu ciągle przed oczyma.

I znowu szamotać się począł w wściekłej rozpaczy. Chciał się zerwać z łóżka, lecz żona gwałtem go przytrzymała. Biedaczka na pocieszenie już i słów nie miała. Całe życie, całe szczęście ich tak od razu w niwecz się obróciło.

— Szymonie, módl się, niechaj ci Pan Bóg przynajmniej przebaczy, toć z umysłu go nie zabiłeś.

Szymon spojrzał na żonę, żal mu ścisnął piersi. Nie, on jej porzucić nie może. Musi żyć i pozostać wolnym. Nagle myśl ucieczki przyszła mu do głowy. Może jeszcze nie zapóźno; zanim się rozpatrzą i na trop jego wpadną, uciec zdoła przez granicę. Tam ręka sprawiedliwości go nie dosięgnie, a będzie pracował, nowe życie rozpocznie i żonę do siebie sprowadzi.

Nadzieja ta go ożywiła. Jak szalony porwał się z miejsca i ku drzwiom się rzucił, nie zważając na krzyk przelękłej żony.

Nagle stanął jak wryty. W drzwiach ukazał się człowiek jakiś. Szymon za głowę się schwycił, błędne oczy utkwił w przybyszu i przeraźliwym wrzasnął głosem:

— Duch! Duch!

I Szymonowa, nie mogąc sobie zdać sprawy z niespodzianego widoku, przestraszona na ziemi uklękła i twarz zakryła rękami.

Przybyły smutnie się uśmiechnął. Był to mężczyzna w podeszłym już wieku, o bladej twarzy. Czoło przewiązane miał chustką, na której ślady krwi widniały. W ręku trzymał strzelbę Szymona i tę ku niemu wyciągnął.

— Duchem nie jestem — począł mówić spokojnie, ocierając sobie krew sączącą z pod chustki. — Bóg mnie ocalił. Źleście mierzyli, nabój tylko drasnął mi czoło, ale mnie ogłuszył. Po chwili już przyszedłem do siebie. Wiedziałem, kto mnie zranił, bom was poznał, zanim wystrzelić zdołaliście. Pierwszą myślą moją było, pójść do sołtysa, oddać mu strzelbę waszą i władzy was przekazać, co nawet obowiązkiem moim było. Ale Bóg mi inną myśl poddał.

Słyszałem o was, żeście poczciwym człowiekiem. Myślę sobie, pewnie nie ze złej woli, lecz z przestrachu to uczynił. Żal mi się was zrobiło, a szczególniej żony waszej i dzieci biednych. Postanowiłem więc iść za wami do chaty waszej. Jam człek nie mściwy, a jestem jak i wy Polakiem i katolikiem, chociaż z innych stron. Wiele w życiu złego od ludzi przecierpiałem, to i ta rana się zagoi. Ale nieszczęśliwym uczynić nikogo nie pragnę. Stałem od dawna pode drzwiami waszemi, i słyszałem całą rozmowę waszą. Ot, macie strzelbę, ja wam moją krzywdę

z serca daruję. O zajściu całem nikt wiedzieć nie będzie, bo jeżeli mnie się o ranę moją zapytają, to powiem, że ją sam przez nieostrożność sobie zadałem. Ale przyrzeczecie mi, że od dnia dzisiejszego zaprzestaniecie tej niebezpiecznej zabawy. Cóż, zgadzacie się na to?

Szymon stał, nie mogąc słowa wymówić. Otworzył tylko usta szeroko i zdziwiony spoglądał na gajowego.

Natomiast żona jego rychlej przyszła do siebie. Zrozumiała od razu rzecz całą, i poczciwem sercem rychlej od męża odczuła szlachetny zamiar gajowego i z płaczem do nóg mu się rzuciła, obejmując jego kolana.

— Bóg wam zapłaci, stokroć wynagrodzi miłosierdzie, jakie nam okazujecie! On niewinny, on nie z umysłu to uczynił. Wybaczcie mu! Naprawi się, zaprzestanie grzechu. Uklęknij mężu, przysięgnij i ucałuj ręce dobroczyńcy naszego!

I gwałtem męża pociągnęła za sobą.

Gajowemu łza mimowoli zakręciła się w oczach. Oparł strzelbę o ścianę i podszedł do łóżka, ponad którem mosiężny wisiał krzyżyk. Zdjął go ze ściany, i zbliżył się do Szymona.

— Na ten święty znak męczeństwa Zbawiciela naszego przysięgnijże mi tutaj, że

od dzisiejszego dnia zaniechasz nieprawnego polowania. Cóż, zgadzasz się?

Szymon wreszcie odzyskał przytomność. Porwał gajowego za rękę, i gorąco całować począł, poczem drżącym głosem żądaną powtórzył przysięgę.

Gajowy się śmiechnął.

— Bądźcie spokojni a dziękujcie Bogu, żeście na mnie trafili. Ja waszej zguby nie pragnę. Nikt o zajściu całem wiedzieć nie powinien, dla tego też wymagam od was jak najściślejszego milczenia. Jeżeli się poprawicie, Szymonie, w co ufam, to już dla mnie największą będzie nagrodą, innej wdzięczności od was nie żądam. Ani wy mnie, ani ja was odtąd znać nie powinienem. Nie dziękujcie mi ludzie; pomódlcie się kiedy za mnie i za moich, których dawno już Pan Bóg zabrał do siebie, a o przysiędze nie zapomnijcie! Bądźcie zdrowi!

Mówiąc to, zwrócił się szybko, i zanim jeszcze Szymonowie podziękować mu zdołali, już gajowy znikł za drzwiami.

W chacie Szymona długo w noc się jeszcze świeciło. Dzieci spały już, ale przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej modliło się dwoje ludzi: szczęśliwa żona i do nowego, lepszego życia nawrócony Szymon.

Była to pamiętna wigilia w jego życiu.

* * *

Północ się zbliżała.

Niedaleko starożytnego zamczyska stał otoczony gęstym lasem domek gajowego. W małej, oświetlonej łojową świeczką izdebce siedział przy stole gajowy z obwiązaną głową. Przed nim na stole leżał świeżo nakrajany chleba czarnego bochenek i masła kawałek, a obok wsparty na łapach spoczywał wielki pies myśliwski, położywszy kudłatą głowę na kolanach pana swego.

— Tak poczciwy psie mój! — mówił do wiernego towarzysza gajowy — to wigilijna wieczerza nasza! Dawniej lepiej bywało, bo otaczały mnie serca kochającej rodziny. To wszystko minęło bezpowrotnie. Pocóż wspominać? Dziś życie moje biegnie bez celu ku blizkiemu zapewne już końcowi!

— Bez celu? — zapytał sam siebie po chwili — a ból dotkliwy w zranionej skroni przypomniał mu jego ostatni dobry uczynek. Nie, zaprawdę nie! Dopókąd człowiek dobrze czynić może, i z poświęceniem służyć ludziom, to życie jego zawsze ma cel przed sobą, i to cel wznioślejszy niż służenie i dogadzanie własnemu dobru!

I rozjaśniła się twarz gajowego i w samotności swej i opuszczeniu weselszym się uczuł, bo przypomniał sobie, że znowu dwoje wdzięcznych serc za niego modli się do Boga.





III.

List do nieba.

Była to wilja Bożego Narodzenia.

Dzień był pochmurny, od czasu do czasu śnieg pruszył i powiększał jeszcze zaspy, jakie zwłaszcza na rogach ulic piętrzyły się dość wysoko. Mrozu silniejszego nie było, więc też po ulicach roiło się od ludzi, już to sprawiających ostatnie zakupna na święta lub też gapiących się na piękne wystawy kupców.

Pan dyrektor poczty powiatowego polskiego miasta galicyjskiego X. siedział w swej kancelaryi i zamyślony spoglądał przez okno na przesuwające się tłumy. Był to mężczyzna w sile wieku, o pięknej, szlachetnej twarzy, na której atoli bardzo smutny pojawiał się wyraz, gdy oczy jego padły na jaką gromadkę wesołej dziatwy, cieszącej się już naprzód na wieczorne niespodzianki. Pan dyrektor nie miał dzieci. Jedyna córeczka, którą go Bóg obdarzył, umarła kilka lat temu. Odtąd i żona chorowała i mimo dobrobytu nie było wesela

w domu dyrektora. Więc i teraz smutek go ogarniał, gdy pomyślał, że znów ten piękny wieczór wigilijny sam na sam z żoną przepędzi, że nie powita go szczebiot ukochanego dziecięcia, że smutno i pusto będzie w wielkiem mieszkaniu. O, bo pociecha to wielka, dobre kochane dziatki, w których widzimy samych siebie odmłodzonych, nadzieję i osłodę starości.

Z cierpkiej tej zadumy wyrwało pana dyrektora wejście listonosza, starego Damazego, który z winnem uszanowaniem stanął przed nim i podał mu list mały.

— Co to takiego? spytał pan dyrektor.

— Dziwny list, panie dyrektorze. Żadna poczta ziemska tego listu adresatowi wręczyć nie zdoła. Snać pisał go albo waryat jaki, albo też ktoś brzydkiego pozwolił sobie dowcipu.

Pan dyrektor teraz dopiero spojrzał uważniej na list i również się zdumiał. Adres, pisany trochę niezgrabnie, snać młodą jeszcze rączką, brzmiał:

„Do mej ukochanej, jedynie złotej
Mamusi, Anieli Ziemickiej
w Niebie.

— Rzeczywiście dziwny to adres — rzekł pan dyrektor. — A no, kiedy adresatce listu doręczyć nie możemy, trzeba przy-

najmniej się dowiedzieć, kto jest jego oddawcą?

Mówiąc to, chwycił za nożyk leżący na stole, rozciął kopertę, i zaczął głośno czytać.

List brzmiał, jak następuje:

„Jedyna, kochana, złota Matusiu moja!

Tak mi tęskuo za Tobą, tak smutno tu na ziemi dziecięciu Twemu! O czemuś mnie opuściła, Mateczko droga? Gdy jeszcze śniegu nie było, chodziłam codziennie, wracając ze szkoły, na Twój grób i opowiadałam ci wszystkie moje smutki i tęsknotę moją. Ale teraz pani Krawczykowa, do której mnie po Twej śmierci oddali, już mi nie pozwala chodzić na cmentarz, więc jeszcze bardziej mi tęskno za Tobą. Pani Krawczykowa jest dobrą, ale nie taką jak Ty, Mateczko najdroższa. Któż Ciebie mi zastąpić zdoła? Nikt mnie teraz nie pieści, nikt ze mną się nie bawi, nikt nie rozmawia tak pięknie i czule, jak Ty, Mateczko droga, gdyś jeszcze na ziemi była. Nieraz mi się jeść chce, a nikt tego nie widzi, jak żeś Ty widziała, ja zaś prosić nie śmiem. Mateczko złota, ciężko mi tu bez Ciebie wśród obcych ludzi, więc uproś u Pana Boga, aby i mnie zabrał do nieba, do Ciebie! Uczyłaś mnie, Mateczko złota, modlić się do Boga, jemu

tylko ufać i polecać smutki moje. Otóż codziennie modlę się do niego, aby mnie zabrał do mej Matusi, ale dotychczas prośby mej nie wysłuchał. Więc dziś w wilią Bożego Narodzenia, gdy inne dziatki szczęśliwie przy rodzicach oczekują gwiazdki, ja piszę do Ciebie, Matusiu, wstaw się Ty za mną do Pana Boga, abym jaknajrychlej znów była przy Tobie.

Twoja wiernie Cię kochająca
córka Zosia.
(Teraz u pani Krawczykowej
na półwiejskiej ul. nr. 7).

Pan Dyrektor położył list na biurko; odedrzwi, gdzie stał stary Damazy, odezwało się przytłumione łkanie.

— Nie płacz, stary! Nie jesteś babą przecie! — rzekł niby szorstko pan dyrektor,. lecz i jemu głos drżał dziwnie a dwie wielkie łzy potoczyły się po twarzy.

— Biedne dziecko! dodał pan dyrektor po chwili półgłosem i zamyślił się głęboko. Potem wstał i rzekł:

— Słuchaj, mój Damazy! Gdy będziesz roznosił listy, to wstąp na ulicę półwiejską nr. 7 i powiedz pani Krawczykowej, aby przyszła do mnie z tem dzieckiem tak około piątej wieczorem.

— Dobrze, panie dyrektorze!

* * *

Po obiedzie pan dyrektor odbył długą naradę z swą żoną.

O godzinie piątej pani Krawczykowa nieśmiało zapukała do drzwi kancelaryi pana dyrektora, trzymając za rączkę małe i widocznie słabowite ośmioletnie dziewczątko. Twarzyczka dziecka tego była blada bardzo, lecz przedziwnie piękna, anielska prawie. Pan dyrektor długo mu się przypatrywał, a im dłużej tem serdeczniej, potem wziął na bok panią Krawczykową i długo z nią rozmawiał po cichu. Zosia — opowiadała pani Krawczykowa — jest dzieckiem biednego rzemieślnika, który umarł krótko po jej narodzeniu. Matka jej zmarła przed kilku miesiącami. Ale snać i z innych odpowiedzi pan dyrektor musiał być zadowolony, bo po chwili z ojcowskiem uśmiechem przystąpił do dziecka, położył rękę na główkę jego i rzekł miękim głosem:

— Toś ty pisała do Mamusi do nieba, Zosiu?

Ciemny rumieniec oblał bladą twarz dziecięcia, a usta jej wyszeptały ledwie zrozumiałe:

— Tak, panie!

— No, widzisz dziecko! Już mam dla ciebie odpowiedź. Bóg się zlitował nad tobą, ale nie tak, jakżeś go prosiła. Jesteś dobrą, uczciwą i pobożną, przeto Bóg chce, abyś

jeszcze długo żyła na świecie i by ci lepiej było, niż dotychczas. Matusia twoja uprosiła dla ciebie inną łaskę. Będziesz znów miała ojca i matkę, sierotko, nie taką może, jaką zmarła była, ale bądź co bądź szczerze Cię kochającą. Ojcem odtąd ja ci będę, a matką żona moja.

I wieczorem dnia tego siedziała mała Zosia w pięknym pokoju pana dyrektora, obdarzona nową śliczną snkienką i pięknemi podarkami, zarumieniona, wesoła. A państwo dyrektorstwo stali obok i z radością i łzami w oczach przyglądali się uszczęśliwionemu dziecku, które odtąd miało im zastąpić własną zmarłą przedwcześnie córeczkę.

Po chwili nasyciwszy się widokiem cacek, Zosia podniosła piękne swe oczki ku pani dyrektorowej i rzekła:

— Wszakże wolno mi będzie podziękować Mamusi w niebie za to nowe dobrodziejstwo?

— Tak — dziecko moje! — odpowiedziała dobra pani, całując ją w czoło; — ale najprzód, moja droga, podziękuj Bogu, bo on to sprawił. Chodź ze mną, pomodlimy się do niego o szczęśliwą przyszłość dla ciebie, i za duszę twej matusi. Bóg to najlepszy ojciec biednych sierot!

Opatrzność Boska dziwnemi nieraz kroczy drogami.....

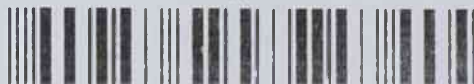
KONIEC.

Spis

SPIS RZECZY.




Biblioteka Miejska w Inowrocławiu
CZYTELNIA
REGIONALNA
BIBLIOTEKI
GŁÓWNEJ
im. Jana Kasprowicza
2165



[illegible]

w Inowrocławiu [illegible]

[illegible]

Chrz[illegible] Księdz[illegible]

[illegible] Kujawia[illegible] Śpiewu na [illegible]